Ostrzeżenie! Czasopismo zawiera wulgarne słowa oraz nieprzyzwoite, a nawet antyrządowe i przeciwkościelne treści.

CENA 9,80 zł w tym 8% VAT ● NR 12 (1852) ● 20–26 marca 2026

nr indeksu 367125 ISSN 0867-2237

NIE

Sracja stanu

str. 5

WŁADCA POLSKI

ISSN 0867-2237 INDEKS 367125

nie@redakcja.nie.com.pl www.tygodniknie.pl Tygodnik NIE YouTube Tygodnik NIE

Ilustr. KRZYSZTOF ŁOLEJNIK

eprasa.pl 5802c0ae32

WOJNA DOMOWA

„GW" odkryła, że ministrzyca zdrowia Jolanta Sobierańska-Grenda, prezes NFZ Filip Nowak i jego zastępca Jakub Szulc zostali wezwani przez premiera, który ich zjebał, że im się w dupach poprzewracało z tym chorymi. Leczyć, badać, operować, jeszcze czego. Wobec czego natychmiast – a nawet wcześniej, bo od stycznia – przywraca się limity na gastroskopię, kolonoskopię, rezonans i tomografię. O, przepraszamy, nie limity: badania nadal szpitale i przychodnie będą mogły robić bez limitów, tylko NFZ zapłaci im 40 proc. stawki, i to dopiero w przyszłym roku. Wobec czego lekarze, którzy teraz robią na NFZ, pójdą do prywaty, gdzie kasę dostaną od ręki i tę samą. Albo raczej większą, bo jak na NFZ się nie da zrobić badania, to popyt na prywatne wzrośnie, a zatem i cena, zgodnie z zasadami wolnego rynku. Oficjalnie NFZ mówi, że w ten sposób zaoszczędzi 800 mln zł, ale po cichu liczy, że więcej. Po prostu wspaniale. Wydajmy 200 dużych baniek z budżetu na wojsko, plus 187 z pożyczki SAFE i jeszcze najlepiej drugie 187 z NBP, po chuj komu badania na raka? Taki z rakiem do wojska się nie nadaje i w ogóle co z niego za pożytek? Po cholerę toto żyje? Pozwólmy działać naturze.

À propos: dyskusja nad SAFE nie zamiera. Kolejna edycja odbyła się na sejmowej komisji spraw wewnętrznych. Minister Kierwiński od policji zapewnia, że pieniądze wyda, choć „naprawdę będzie trzeba bardzo wiele wysiłków, bardzo wiele pracy, aby znaleźć właściwy mechanizm" ich wydania, a kto to widział, żeby od ministra konstytucyjnego wymagać pracy i wysiłków? Minister złożył jednak obietnicę posłom i całemu narodowi – w wydawaniu nie ustanie, wyda oba sejfy, jak będzie trzeba: „Wierzcie państwo – to moje zobowiązanie – jeżeli w ramach programu pana prezydenta pojawią się dodatkowe środki, to i pan generał Bagan, i pan generał Boroń, i pan podpułkownik Jackowicz przyjdą do mnie, do ministra Mroczka i pani minister Jackowiak z teczką pełną pomysłów, jak te pieniądze zagospodarować". To ulubiony argument zwolenników SAFE: dajmy generałom te pieniądze, bo oni chcą je wziąć. Jakby co, to my też chętnie.

Po wystąpieniu ministra wybrańcy narodu wymieniali głęboko merytoryczne uwagi na temat możliwych sposobów finansowania dodatkowych zakupów uzbrojenia. Poseł Kaleta z PiS przebiegle zaatakował rząd: „Min. Kierwiński powiedział coś o bezpieczeństwie ludzi, którzy strzegą naszych granic – a miał pan na myśli również bezpieczeństwo prawne? Że powstają poszczególne jakieś oddziały prokuratorów, którzy sprawdzają, czy polscy pogranicznicy, żołnierze zachowywali się właściwie?!" – bo kto to widział, żeby ktoś sprawdzał, czy człowiek w polskim mundurze właściwie strzela do innego człowieka. Potem jeszcze poseł Kaleta orzekł, że „my od samego początku, jak tylko byliśmy u władzy, mówiliśmy, że sowieci są dla nas zagrożeniem" – co było nieco zaskakujące dla tych, którzy nie pamiętali, że PiS był u władzy przed 1990 r. Po nim głos zabrał poseł Fryszak z KO, który starannie odczytał z kartki następujące wystąpienie: „Z weta w sprawie SAFE na pewno cieszy się Putin na Kremlu. Ale trzeba zadać pytanie: czy wy jesteście posłami na sejm Rzeczypospolitej Polskiej, lobbystami, czy może wprost ruskimi onucami?". Tu poseł Fryszak zawiesił głos i powiódł po sali pytającym spojrzeniem. Majstersztyk.

Posłowie PiS wiedzą, co mówić o SAFE, albowiem dostali od szefa klubu Mariusza Błaszczaka instrukcję lekko trącącą groźbą: „W związku z tym, że niektórzy członkowie naszej partii poza biurem prasowym umawiają się do mediów i wypowiadają się niezgodnie ze stanowiskiem partii lub w sposób je relatywizujący m.in. w sprawach dotyczących programu SAFE, informujemy, że od dzisiaj w przypadku umówień poza biurem prasowym lub odstępstw od stanowiska partii będą wyciągane konsekwencje dyscyplinarne. Od tej reguły nie ma wyjątków". Wyjątek usiłował zaprezentować senator Włosowicz, który poszedł do siedliska wroga – TVN24 – i powiedział, że „tamta strona popierała zakupy poprzedniego rządu i oczekiwałem, że my też się tak będziemy zachowywali, jeżeli otrzymamy taką dobrą propozycję". Zaprzańca zdyscyplinował wiceszef KP PiS senator Karczewski: „Pan Włosowicz w kolejnych wyborach nie znajdzie miejsca na listach PiS. Nie ma miejsca dla tych cwaniaków oportunistów, którzy chcą być z nami tylko wtedy, gdy rządzimy". Taaaa… Bo generalnie w PiS-ie to sami ludzie idei. Najlepszy dowód, że nikt grosza z państwowego nie wziął, a przez osiem lat rządzili.

Prezydent zawetował nowelizację kodeksu karnego, która przez zaostrzenie kryteriów tymczasowego aresztowania miała przykrócić możliwość stosowania aresztów wydobywczych. Minister Bogucki wyszedł i długo przemawiał na tle flagi, a z każdego jego zdania wynikało jasno, że ów prawnik, były prokurator i adwokat, uważa tymczasowe aresztowanie za formę kary, która złym ludziom się po prostu należy. „Prawo karne jest tarczą, która chroni prawa jednostki i społeczeństwo, a z drugiej strony jest mieczem, który powinien spadać tam, gdzie są popełniane przestępstwa. Minister Żurek, można powiedzieć, jednym ruchem rozbił tę tarczę, wyrzucił tę tarczę i upuścił ten miecz" – zakończył min. Bogucki. Ma chłop gadane. Przyda się partyjnym kolegom, jak ich trzeba będzie wyciągać z aresztu.

Sejm, głosami koalicji rządzącej, wybrał sześciu nowych członków Trybunału Konstytucyjnego, na co posłowie PiS wystąpili do starego TK, żeby uznał za niezgodne z konstytucją przepisy uchwalone przez PiS. Tak, tak, wiemy, my też się w tym gubimy. W każdym razie władza spodziewa się, że prezydent nie przyjmie ślubowań od nowych sędziów, wobec czego ma rozliczne plany B. Wśród nich: złożenie ślubowania na piśmie przed notariuszem, złożenie go przed Czarzastym, złożenie przed zwołanym pod jakimś pretekstem Zgromadzeniem Narodowym i wreszcie nasz ulubiony: wygłoszenie przez sędziów tekstu ślubowania przed prezydentem w trakcie jakiejś innej uroczystości – bo ustawa nie wymaga, żeby to prezydent organizował ceremonię ślubowania. Wyobrażacie sobie tę szóstkę sędziów – pewnie w togach dla powagi – jak wkradają się na jakąś publiczną uroczystość z udziałem prezydenta, wyciągają tuby spod tóg i na raz-dwa-trzy wykrzykują chórem: „Ślubuję uroczyście przy wykonywaniu powierzonych mi obowiązków sędziego Trybunału Konstytucyjnego służyć wiernie Narodowi"… A prezydent zakrywa uszy i umyka z placu, na wpół wynoszony przez funkcjonariuszy SOP specjalnie szkolnych na taką okoliczność… Czego by o PiS nie mówić, to spierdolić „sędziokrację" udało mu się śpiewająco. Jesteśmy oto w sytuacji, w której przywrócenie stanu zgodnego z konstytucją nie jest możliwe bez złamania konstytucji i któraś strona musi wymrzeć, żeby rozwiązać ten węzeł.

AWŁ

Z URNY BLAGIERA URBANA

BLOG WSZYSTKICH ŚWIĘTYCH



Marzec 2014 r.

Świętego Rodriga

Wydarzenie tygodnia: Azor ostrzyżony. Po wizycie fryzjerki chodzi po ludziach, prosząc o komplementy. Przytył, sukinsyn, co maskował sierścią. Już mu żeber nie widać. Nie pracuje, a je.

Świętej Matyldy

Naszą ulicą w Konstancinie wieczorami galopuje stado 14 dzików. Rozpruwają wystawione przez ludność worki ze śmieciami i mają dobre kolacje. Ostatnio uzbrojony członek mojej ochrony, jadąc na nocną zmianę, uciekał na rowerze przed goniącym go stadem. Zapytałem, po co mi ochrona, która boi się nawet zwierząt. Odparł, że bandyci nie mają afrykańskiej grypy. Grypę ma Daniszewska – paskudną, bo polską.

Minister rolnictwa upadł, ponieważ dwa dziki, które uciekły Łukaszence, dostały grypy. Jeśli w polityce mają istnieć jakieś proporcje, to z powodu grypy mojej żony powinien podać się do dymisji cały rząd.

Świętej Luizy

Z badań społecznych wynika skłonność do separacji klasowej. Bieda kryje się i żyje wśród biedy. Bogactwo kryje się i żyje wśród bogactwa. Nikt nie żartuje ze swojego ubóstwa. Podobnie własną zamożność bogacze traktują ze śmiertelną powagą. Kulczyk wolałby stracić majątek niż z niego podworować (czasownik „dworować" nie pochodzi od dworu Kulczyka).

Świętej Benedykty

Szef „Gazety Polskiej" i związanych z nią mediów wciąż użala się w swych wstępniakach na biedę wynikłą z braku reklam. Stwarza tym wrażenie, że zmierza do przejęcia władzy przez PiS, po to żeby mu Kaczyński zapłacił za wsparcie państwowymi reklamami. Ostatnio jednak (12 marca) czytamy: „Realizowany jest plan osłabiania i dyskredytowania mediów i polityków uznanych przez Moskwę za niebezpiecznych. Atak ma na celu: po pierwsze osłabienie ich wiarygodności, po drugie odebranie finansowych, a jak się da także organizacyjnych możliwości działania, po trzecie ograniczanie ich zasięgu". U nas, wywodzi Sakiewicz, odbywa się to „przez wystraszanie sponsorów i reklamodawców albo niszczenie wiarygodności gazet".

Jednym słowem Kreml tak się boi Sakiewicza, że odgania od jego brukowców czytelników, sponsorów i reklamodawców. Skutek tragiczny, cytuję: „cierpienie i śmierć ludzi, a przede wszystkim niewola podbitych narodów".

Trochę racji Sakiewicz ma. Moskwa psuje humor Polakom i przez to humorystyczna publicystyka szowinistów traci wzięcie.

Świętego Patryka

Radykalna, nacjonalistyczna młodzież jest groźna, ale doradzałbym, żeby zwalczać jej mentalność polityczną, a nie symbole. Narodowe pozdrowienie „Heil Hitler" i swastyka na murze nikomu nie szkodzą, przeciwnie – odstręczają. Faszyzm pozbawiony tych symboli tylko wypięknieje. Młodzież dlatego używa swastyki do kontestacji, ponieważ jest to znak prawnie zakazany. Jak zaczniemy karać za symbol Polski walczącej, to właśnie ten będą malować na murach i nagrobkach. Wsadźmy kogoś za okrzyk: „Niech żyje Dżyngis-chan!", a zrobimy modę na Złotą Ordę. Jeżeli jednak liberałów, w tym Żydów, naprawdę tak bardzo ranią swastyki i pozdrawianie śp. Hitlera, to proponuję stosować za to jedną tylko karę. Zmontować film z samej hitlerowskiej makabry: trupów, wieszania, nędzy w getcie. Wydzielić specjalną salę kinową, bo tam nie ma dokąd uciec wzrokiem od ekranu. I skazywać faszystów na dwugodzinne oglądanie. Tylko koniecznie pojedynczo, żeby nie mieli przed kim popisywać się.

Świętego Cyryla

Nędzne odgłosy ludnych urodzin Daniszewskiej. Jedna dama jednemu właśnie poznanemu facetowi zrobiła w kiblu laskę, ale jest na to tylko jeden świadek. Wirtuoz skrzypiec poplamił sobie koszulę czerwonym winem. Wywabiał, wywabiał i wpadł w rozpacz. Poza nią ma tylko koszule frakowe. Nikt nikogo nie zgwałcił, nie porzygał się ani nie spadł ze schodów. Po raz pierwszy sąsiedzi nie wzywali policji, chociaż wspaniała kapela dawała czadu. Na starość życie traci sens i żadne wzmacniacze nie pomogą. Ale czekam na bal w hospicjum.

Świętego Józefa

Reżyser w stanie spoczynku Piotr Szulkin sądownie wstrzymał druk kolejnego tomu „Polskiego Słownika Biograficznego", ponieważ znamienitemu uczonemu, który był ojcem Szulkina, wydawnictwo uwypukla żydowskie pochodzenie. Zręczne. Ani Piotr Szulkin, ani ja, ani nikt, kogo znam, ani żaden namolny człowiek nie czytuje „Polskiego Słownika Biograficznego". Akcja sądowa reżysera uzyskała natomiast gazetowy rozgłos.

Dzięki temu reżyser filmowy Szulkin przypomniał, że istnieje, przy czym uprawnił domniemanie, iż on sam jest żydowskiego pochodzenia. Uwaga, starozakonny Hollywood! W Polsce Żydom nie dają kręcić!

Świętej Klemensy

Ktokolwiek z mojej rodziny (a było ich ośmioro) jechał do Treblinki, to wylatywał kominem. A moi bliscy się dziwią, że nigdy tam nie pojechałem. Cóż, lubię dymić, sam nie będąc dymem. Jeszcze po jednym? ❑

PRASA ŚNIADANIOWA

- **Karol Nawrocki** został wygwizdany na meczu Górnika Zabrze. Arka Gdynia Tadzio Batyr!
- **Redemptoryści** z Krakowa zapraszają mamy na rekolekcje „Bóg w mojej kuchni". Bób w mojej kuchni brzmi lepiej.
- **Czarnek** poradził Tuskowi, by odbierał telefony z Polski, a nie z Niemiec. Najważniejsze, żeby nie odbierać od fotowoltaiki.
- **Rada Warszawy** poparła nocną prohibicję na terenie miasta. Ceny mieszkań w Wołominie skoczą w górę.
- **Radio Maryja** na depresję poleca dietę keto. Bzdura, cierpienie uszlachetnia.
- **Sejm** przyjął przepisy, które pozwolą na rozwody poza sądem. Hańba, rozwód to aborcja małżeństwa.

MARTA M.



Rys. TOMASZ WIATER

LISTONOSZ DONIÓSŁ

Obywatelski atak medialny

Informacje jak np. o tej orgii narkotykowo-seksualnej w Dąbrowie Górniczej powinny trafiać pod strzechy (...). Aby one tam trafiały, potrzebny jest informacyjny wysiłek społeczny i nasz nacisk informacyjny na przeróżne media i na dziennikarzy. Wg mnie takie informacje należy linkować i przesyłać na maile do redakcji, (...) na maile dziennikarzy, w tym szczególnie na maile redakcji/redaktorów w prowincjonalnych mediach (...).

Mam na liście mailingowej kilkaset maili redakcyjnych i indywidualne do dziennikarzy i prawie codziennie przesyłam im linki do znalezionych informacji. Informacji o firmie, tej firmie, i wyczynach jej funkcjonariuszy są codziennie całe pęczki, tuziny i kopy. Oni najbardziej boją się informacji o sobie, które mogą trafić pod strzechy, (…) gdyż wtedy im ktoś wkłada informacyjny patyk w szprychy. Więc róbmy (…) informacyjne echo w mediach społecznościowych i w mailach do redakcji i dziennikarzy.

Jako społeczeństwo dostaliśmy od internetu możliwości większe od ich tysięcy ambon, więc korzystajmy z tego. Z nami jest moc informacyjna, a z nimi jest teraz strach i trwoga, że wszystko się wydaje i upublicznia.

Czytelnik

Ersatz panującego

Dawno, dawno temu Redakcja zamieściła list zza Odry. Autor napisał w nim, że w Niemczech partie żrą się w trakcie kampanii wyborczej, ale w Bundestagu pracują na rzecz kraju. Owszem, kłócą się, opozycja oczywiście narzeka, jednak nikomu przez myśl nie przejdzie stawiać dobra i polityki swojej partii ponad dobrem państwa. W tym kontekście pisowcy zachowują się jak typowi Polacy: niech Polskę diabli wezmą, byle się Tuskowi nie udało. Nieważne, że ludzie i firmy nie zarobią, że państwo będzie osłabione, że tracimy szansę na rozwój: jakby co, powiemy (a ciemny lud to kupi), że to wszystko wina „Rudego". A jak się nie uda w sejmie, to nie po to mamy ziomala w pałacu, żeby ładnie wyglądał. I tu zadaję sobie pytanie: czy rzeczywiście Polsce jest potrzebny prezydent? Jest to, historycznie rzecz ujmując, ersatz panującego, zaś aktualnie rodzaj kosztownej ozdóbki, a w naszym układzie szkodliwej. Dr Nawrocki suwerennie patrzy w Trumpa jak w święty obraz, natomiast jako historyk mógłby (i chyba powinien!) brać przykład z panujących w okolicy monarchów, którzy swoim rządom nie wchodzą w paradę, a na dodatek mają lepsze pochodzenie. No i maniery.

Waldemar Miksa, Gdańsk

eprasa.pl 5802c0ae32

Dezinformacja to nie tylko śmieszne teorie spiskowe

Kryzys fejkiem malowany

Oczy całego świata zezują między kolejnymi doniesieniami z Bliskiego Wschodu. Marketing wojenny, by nie rzec propaganda, idzie z duchem czasu. Przed czterema laty międzynarodową publikę wzruszała historia ukraińskiej babuszki, która strąciła rosyjski dron słoikiem ogórków. Sieć zalewały filmiki z uroczym psem o imieniu Patron, tropiącym miny przeciwpiechotne, i bachornią witającą wracających z frontu tatusiów. Obecnie sprawy mają się nieco inaczej. W ciągu trzech tygodni wojny z Iranem Binjamin Netanjahu umarł częściej niż Putin przez cztery lata wojny z Ukrainą. Równie martwy miał być świeży irański przywódca Modżtaba Chamenei – jeśli wierzyć internetowym sensacjom, spokrewniony z Hitlerem gej, który leży w moskiewskim szpitalu, choć ma penthouse w Londynie.

Zabawa w wojnę

Kolportaż anegdotek przez rządowe kanały propagandowe to rozgrzewka. W Izraelu i Iranie (co wydaje się logiczne) obowiązuje surowa cenzura rejestrowania i publikowania zniszczeń wojennych. Mimo to sieci społecznościowe zalewają fotosy zgruzowanej infrastruktury publicznej i wojskowej – przeciwnika oczywiście. Zdarzają się zabawne wpadki. Izrael wrzucił zdjęcie pożaru lasów w Kalifornii z 2020 r., które miało przedstawiać płonący od bomb Teheran. „Nasze F-35 niewidzialne dla radarów Iranu. Właśnie zniszczyliśmy 80 proc. irańskiej obrony przeciwlotniczej" – pochwalili się Amerykanie, pokazując fotografię wystawowego modelu samolotu z tabliczką „Do not touch" (nie dotykać).

Irańskie drony Shahed-136 zrównujące Dubaj z glebą okazały się kadrami z gry komputerowej. Żeby oddać sprawiedliwość Irańczykom, do ich hitu „Boom, boom Tel Aviv" noga sama chodzi, a mniej rozgarnięci internauci mogą nie załapać, że to nie Izrael bombarduje.

Ukoronowaniem festiwalu dezinformacji są filmy tworzone przy użyciu lepszej klasy sztucznej inteligencji, z której rozbrojeniem mają kłopot nawet specjaliści. Z punktu widzenia bezpiecznej Europy grozę wojny sprowadziliśmy do mema. Tymczasem opublikowany niedawno „World Disaster Report 2026" ostrzega, że szkodliwe informacje to de facto kryzys humanitarny, który utrudnia dostęp do pomocy, destabilizuje spójność społeczną i jest bronią wymierzoną w akcje humanitarne.



Rys. MARCIN CHUDZIK

Instrukcja chaosu

Raport to publikacja Międzynarodowej Federacji Stowarzyszeń Czerwonego Krzyża i Czerwonego Półksiężyca. Gromadzi spostrzeżenia społeczności i 60 organizacji z różnych regionów świata. Autorzy analizują, jak szkodliwe informacje – w tym dezinformacja i dehumanizujące narracje – wpływają na reakcje na katastrofy, zagrożenia zdrowia publicznego, migracje i konflikty. Przedsmak tego miodu mieliśmy w czasie pandemii, kiedy na kanwie teorii spiskowych pod adresem medyków kierowano groźby karalne i szereg oszczerstw. Skala zjawiska jest jednak znacznie większa i nieporównywalnie (bez urazy) bardziej szkodliwa.

W czerwcu 2024 r. przez Kenię przelała się fala protestów największego ruchu społecznego od lat. Młodzi ludzie z pokolenia Z postawili się okoniem wobec projektu ustawy budżetowej wprowadzającej nowe i wyższe podatki na podstawowe usługi i produkty (m.in. pieluchy, podpaski, pożywienie i usługi cyfrowe). Kolejne obciążenie i tak wysokich kosztów życia – przy bezrobociu bliskim 70 proc., inflacji i braku perspektyw – wznieciło gniew społeczny ponad podziałami partyjnymi i plemiennymi. Jeden viralowy tweet na X z informacją, że pojazdy kenijskiego Czerwonego Krzyża przewożą polityków, doprowadził do masowych ataków na wolontariuszy i uniemożliwił prowadzenie akcji ratunkowych po zamieszkach krwawo tłumionych przez rząd.

W od lat pogrążonym w konflikcie zbrojnym Sudanie Południowym, którego ludność zmaga się z chronicznym brakiem żywności i masowymi przesiedleniami, doszło do incydentu metodą szeptaną. W Dżubie (stolicy) i okolicach, w tym obozach dla wewnętrznych przesiedleńców, działały liczne międzynarodowe akcje humanitarne i sudański Czerwony Krzyż. Organizacje dostarczały żywność i udzielały pomocy medycznej. Wśród zgnębionych głodem i nędzą społeczności, gdzie zaufanie do obcych jest kruche jak pokój na Bliskim Wschodzie, rozpuszczono plotkę. Po obozach, targowiskach i kościołach rozniosła się wieść, że NGO-sy i CK rozdają zatrute żarcie w celach politycznych. W efekcie setki rodzin przestały przychodzić do punktów dystrybucji, co oznaczało realne ryzyko śmierci głodowej dla tysięcy osób. Część z nich wróciła na tereny, z których uciekła. Personel humanitarny chciano mało humanitarnie zlinczować. Pomoc została wznowiona po kampanii w lokalnej sieci radiowej i spotkaniach z wodzami społeczności.

To się dzieje nie tylko w Afryce. Żeby daleko nie szukać: w Walencji po katastrofalnej powodzi z 2024 r., która pochłonęła 236 ofiar, też nakręcono niezłą korbę. W sieci masowo powielano fałszywe narracje, że Czerwonego Krzyża w ogóle nie ma na miejscu, a publikowane zdjęcia z akcji są ustawione. W innej wersji CK miał defraudować środki z darowizn, a w kolejnej pomagać wyłącznie migrantom kosztem obywateli Hiszpanii. Zespoły ratownicze, jakby mało miały roboty, musiały dementować oszczerstwa. Kurek z pomocą przykręcili też zaniepokojeni darczyńcy.

Wszyscy kłamią

Zakres skutków i sposób, w jaki wygenerowane z dupy farmazony zakłócają proces gotowości i reagowania w sytuacjach kryzysowych, jest szeroki. Jak na dłoni widać, że instytucje państwowe, humanitarne i media nie są w stanie budować nowoczesnych mechanizmów odporności tak szybko, jak powstają narzędzia manipulacji. Raport IFCR jasno stwierdza, że dezinformacja może zabijać równie skutecznie jak bomby czy katastrofy naturalne, bo blokuje pomoc i naraża na zgon tych, którzy ją niosą.

IFCR przedstawiło szereg rekomendacji. Środowisko informacyjne należy traktować jak teren operacyjny i włączyć je do planów gotowości reagowania kryzysowego. Państwa powinny domagać się od platform internetowych wprowadzenia cyfrowego zawieszenia broni w czasie kryzysów. RCCE (informowanie o ryzyku i włączanie społeczności) należy traktować jako rdzeń działań, a nie dodatek czy element poboczny. Wreszcie należy inwestować w szybką weryfikację treści generowanych przez sztuczną inteligencję, transparentną komunikację oraz sieć informacyjną na poziomie lokalnym.

Wnioski wydają się oczywiste, ale nie tak znowu łatwe do wyegzekwowania. No bo jak taka np. Polska ma wdrożyć zalecenia autorów raportu, kiedy wiceminister spraw zagranicznych Władysław Teofil Bartoszewski idzie do Radia Zet, gdzie bez cienia skrępowania mówi, że ataku na szkołę dla dziewcząt w Minabie dokonał sam Iran?

IDALIA DUBICKA

Braun i towarzysze z Grunwaldu

Wołk-Łaniewska niepotrzebnie romantyzuje uwodzenie lewicy przez Koronę

Tekst Agnieszki Wołk-Łaniewskiej „Niechętni kochankowie Brauna" („NIE" 10/2026) trafnie opisuje pewne zjawisko, ale dopowiedziałbym do niego jedną rzecz: fascynacja Braunem po stronie części ludzi deklarujących sympatie lewicowe nie bierze się znikąd i nie jest żadną nowością. To nie tyle sensacyjne „uwodzenie lewicy", ile powrót starego polskiego odruchu, który co jakiś czas odżywa na styku antyliberalizmu, resentymentu narodowego i społecznej frazeologii. Odruchu, który można by nazwać po prostu po imieniu: czerwono-brunatnym, niestety.

W polskiej polityce od dawna istnieje nurt, który lubi mówić językiem społecznym, antyelitarnym, czasem nawet antykapitalistycznym, ale zarazem ciągnie go w stronę mocarstwowej pozy, niechęci do Zachodu, pogardy dla liberalnej demokracji i upodobania do silnego państwa, silnej ręki, silnego przywódcy, silnego narodu. To jest właśnie ten duch dawnych grunwaldzkich sentymentów, późnego PRL-owskiego antyzachodniactwa i rozmaitych mieszanek, które z lewicowości zachowywały głównie dekorację społeczną, a z prawicy brały to, co najgorsze: kult siły, wspólnotę opartą na wrogu i podejrzliwość wobec wolności.

Braun bardzo dobrze trafia w tę emocję. Nie dlatego, że proponuje jakąś spójną odpowiedź na społeczne krzywdy, ale dlatego, że daje swoim sympatykom wygodną syntezę gniewów.

U Brauna można jednocześnie nie cierpieć III RP, liberałów, Unii Europejskiej, NATO, Ukrainy, „elit", feminizmu, współczesnej obyczajowości i połowy nowoczesnego świata. Można czuć się radykalnym, nie wykonując pracy myślowej. Można mieć poczucie buntu, nie wychodząc poza stary repertuar: naród, tradycja, spisek, zdrada, dekadencja, upadek.

Rosja jest tu ważna także dlatego, że działa jak polityczny skrót. Pozwala części tych środowisk zamienić uzasadnioną nieufność wobec Zachodu, NATO czy liberalnej hipokryzji w tani gest odwrócenia wszystkich znaków. Skoro centrum kłamie o wielu sprawach, to oni odruchowo szukają prawdy po stronie przeciwnej.

I właśnie wtedy zaczyna się myślenie nie polityczne, lecz plemienne: nie liczy się już, czym Rosja realnie jest, tylko to, że drażni liberałów, zawstydza mainstream i pozwala poczuć się uczestnikiem wielkiego demaskatorskiego przedstawienia.

Dlatego nie chodzi o to, żeby teraz urządzać konkurs czystości i ogłaszać, kto jeszcze jest lewicą, a kto już nią nie jest. Ciekawsze jest coś innego: zauważyć, że również na lewicy bywają środowiska, temperamenty i odruchy podatne na taki przekaz. Zwłaszcza tam, gdzie krytyka liberalizmu nie została doprowadzona do końca i zamiast w stronę klasy, pracy i własności zaczyna dryfować ku geopolitycznym fantazjom, nostalgii za „siłą państwa" i potrzebie symbolicznego odwetu na współczesnym świecie.

Bo przecież w tej pokusie jest coś rozpoznawalnego. Ktoś zaczyna od słusznego przekonania, że transformacja była rabunkiem, że liberalne centrum gardziło ludźmi pracy, że Zachód nie jest krainą moralnej niewinności, że wojny i imperialne interesy bywają maskowane pięknymi hasłami. Wszystko prawda. Problem zaczyna się wtedy, gdy z tych trafnych obserwacji wyciąga się fałszywy wniosek, że odpowiedzią ma być nacjonalistyczny kabaret z kadzidłem, obsesją zdrady i polityką historyczno-cywilizacyjnych urojeń.

Tu właśnie pojawia się Braun jako figura nie tyle nowa, ile dobrze znajoma. Taki patron dla tych, którym społeczna krytyka świata pomieszała się z narodowym resentymentem. Dla ludzi, którzy chcieliby mówić o nierównościach, ale bardziej od zmiany stosunków społecznych pociąga ich wizja wielkiego rozliczenia z liberalizmem, Zachodem, obcymi wpływami i wszelką nowoczesnością, która nie mieści się w ich plemiennym odruchu. Innymi słowy: mniej interesuje ich wyzwolenie ludzi, bardziej jednak wskazanie winnych.

I może właśnie dlatego nie warto tego opisywać jako romansu Brauna z lewicą. To raczej kolejna odsłona starego polskiego zjawiska: pasożytowania na języku społecznym przez środowiska, które w gruncie rzeczy marzą nie o równości, lecz o porządku; nie o emancypacji, lecz o dyscyplinie; nie o solidarności, lecz o wspólnocie budowanej przeciw komuś. W tej mieszance zawsze znajdzie się trochę socjalnego sosu, trochę antyelitarnych haseł i dużo moralno-narodowego dymu.


Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Taki nurt istniał u nas od dawna i pewnie jeszcze nieraz wróci. Raz pod szyldem patriotycznego realizmu, raz antysystemowości, raz obrony cywilizacji, raz troski o lud. Za każdym razem mechanizm jest podobny: realne społeczne frustracje zostają przechwycone i przetworzone w paliwo dla polityki tożsamościowej, resentymentalnej i autorytarnej. Zamiast pytać, kto kogo wyzyskuje, zaczyna się rytualne wskazywanie, kto „niszczy naród", „obraża tradycję", „służy obcym" albo „rozbraja cywilizację".

I to właśnie jest w Braunie najbardziej niebezpieczne. Nie to, że mówi rzeczy skandaliczne – to akurat jego zawodowy folklor. Groźniejsze jest to, że dla części ludzi rozczarowanych centrum, Zachodem i liberalną hipokryzją potrafi brzmieć jak ktoś, kto „przynajmniej mówi prawdę". Nie mówi. On tylko skleja różne gniewy w jeden brunatny pakiet i sprzedaje go jako wielką polityczną odwagę.

Mówiąc krótko: problem nie polega na tym, że lewica nagle zakochała się w Braunie. Problem polega na tym, że w polskiej kulturze politycznej od dawna krąży czerwono-brunatna pokusa, która umie podszyć się pod antyliberalizm, antyestablishmentowość, a nawet pod społeczną wrażliwość. I czasem znajduje posłuch również tam, gdzie teoretycznie powinno być na nią najwięcej odporności.

DAMIAN DUSZCZENKO

eprasa.pl 5802c0ae32

Teraz my rozpruwamy sejf

Mam rewolucyjną propozycję: pomyślmy

Pomyśl o SAFE.

Po wrzawie, jaka przelewa się przez media, ta propozycja może się wydawać nudna i bezowocna – a jednak nie jest. Pomyślmy o tym razem. W końcu nie zrobią tego za ciebie nasi parlamentarni wybrańcy. Kiedy oni rzucają w naszym kierunku polityczną papkę i przerzucają się obelgami, my uczciwie przyjrzyjmy się sprawie.

Ważne pytania

Czy Polska ma się zbroić na potęgę, czy rozsądniej byłoby wydawać te pieniądze na inne cele? W jakiej skali? Na te pytania każdy z nas ma swoją odpowiedź – i nikt nie ma racji. Bo ta racja jest jak przyszłość: obiektywnie niewiadoma.

Skąd brać pieniądze? Można je pożyczyć albo użyć własnych. Tusk woli unijny kredyt, a prezydent środki z NBP. Glapiński zastrzegł, że nie zamierza umniejszyć olbrzymich rezerw NBP (taką – kto wie czy nie lepszą od obu SAFE – możliwość rozważali niektórzy ekonomiści, w tym Grzegorz Kołodko). Sądzę więc, że Glapiński miał na myśli prosty zabieg księgowy: NBP ma ogromny „niezrealizowany zysk" na złocie, które kupował, gdy było znacznie tańsze; sprzedanie go i odkupienie po obecnej cenie zrodzi zysk księgowy. Glapiński oszacował go na ok. 197 mld zł, podkreślając, że chodzi tu o „nadzwyczajną, jednorazową okazję historyczną". Takie działanie jest oczywiście jedną z form kreacji nowego pieniądza: złotówki, które wcześniej nie istniały, pojawiają się w obiegu gospodarki, a złoto pozostaje w skarbcach nienaruszone. Haczyk w tej sprawie jest taki, że ta zamiana aktywów na bilansowy zysk mogłaby nastąpić dopiero po zatwierdzeniu bilansu NBP za 2025 r. przez Radę Ministrów. Aby stało się to szybko, potrzebna by była dobra wola obu stron: NBP i rządu – a o to w tym gronie najtrudniej.

W obecnej rzeczywistości, jeśli państwo musi pożyczać, to właściwie tylko w obcej walucie, płacąc cenę pieniądza, czyli odsetek. Jeśli natomiast państwo tworzy pieniądz – czyli emituje – to wyłącznie we własnej walucie. A wtedy koszt pieniądza nie jest konieczny.

Jak wydawać te pieniądze? Czy lepiej inwestować – w naukę, technologię, produkcję, infrastrukturę, wdrożenia – czy kupować na świecie gotowe produkty i prawa? Jeśli uznasz, że czegoś potrzebujesz natychmiast i sam sobie z tym nie poradzisz, to bierzesz z półki. Kupujesz. Niestety, wtedy finansujesz czyjąś marżę. Jeśli masz więcej czasu – inwestujesz. Wtedy masz szansę na własny zysk.

Ile pieniędzy możesz pożyczyć albo wyemitować? Nie wiemy. W obecnej sytuacji ekonomicznej Polski chyba niewiele. Limitem jest inflacja waluty. Trzeba poruszać się tuż przy jej granicy. Każdy pieniądz krążący w gospodarce, który nie powoduje inflacji, jest korzyścią dla wszystkich. Każdy złoty, który inflację wywołuje albo rozkręca, jest stratą. Każda inflacja to pauperyzacja społeczeństwa. Zwłaszcza tych najmniej zamożnych.

Czy dolary albo euro pozyskane przez Polskę z kredytu, a potem wydane na zakupy za granicą powodują inflację? Nie. To tylko rozłożone w czasie obciążenie budżetu państwa, ale nie inflacja.

Czy złotówki dodane do obrotu w kraju stwarzają ryzyko inflacji? Niestety tak. Ale to, jak bardzo będą proinflacyjne, zależy od tego, na co się je wyda.

Skąd mamy wiedzieć, czy nowy, wyemitowany pieniądz nie spowoduje inflacji? Powinniśmy się dowiedzieć od powołanych do tego instytucji i od rządu. Ale po doświadczeniu z SAFE pewnie już się domyślasz, że oni nie ułatwią nam zadania.

Jak używać pieniędzy

A zatem przeanalizujmy to sami. Polska, państwo ze złotówką – suwerenną walutą – decyduje się na duży program zbrojeniowy SAFE. Chce kupić nowoczesne technologie, broń, a także uruchomić własną produkcję. Obok unijnego kredytu SAFE proponowany jest „SAFE zero procent". Czyli wyemitowanie przez NBP „z niczego" złotówki. Pamiętasz, jak Tusk nerwowo pytał po spotkaniu z prezydentem: „To gdzie są te pieniądze?". On tego po prostu nie kuma.

Dla podjęcia rozważnej decyzji o emisji tych złotówek kluczowe jest nie tylko to, czy i ile nowych złotych można użyć, ale także jak będą wydawane. Bo ważne, czy zrobi się to w sposób, który zwiększa zdolności wytwórcze gospodarki, czy tylko napompuje popyt na towary, usługi i płace, nie zwiększając produkcji ani stanu posiadanych technologii. Inflacja nie pojawi się, gdy popyt i podaż towarów oraz usług na rynku danej waluty pozostają w równowadze. Kiedy popyt przerasta podaż – mamy inflację.

Inwestycje w produktywność to wydatki, które rozwijają potencjał gospodarki do wytwarzania dóbr i usług. Działają antyinflacyjnie, bo dzięki nim w przyszłości można wyprodukować więcej, a to równoważy powiększony emisją pieniądza popyt.

W przypadku programu zbrojeniowego może to być budowa infrastruktury przemysłowej. Przykład? Państwo buduje nowoczesną fabrykę komponentów elektronicznych, która będzie produkować układy scalone do systemów naprowadzania rakiet. Dlaczego to antyinflacyjne? Bo taka fabryka angażuje bezrobotnych inżynierów i niewykorzystane moce produkcyjne. A gdy już ruszy, zwiększa podaż kluczowych podzespołów – nie tylko dla wojska, ale też dla przemysłu cywilnego, choćby elektroniki użytkowej. Większa podaż oznacza niższe ceny w dłuższym terminie.

Albo inwestycje w badania i rozwój. Przykład? Rząd finansuje program badań nad nowymi materiałami – lekkimi stopami, kompozytami – we współpracy z uczelniami. Takie technologie obniżają w przyszłości koszty produkcji, na przykład dzięki lżejszym i tańszym materiałom używanym w transporcie. To zwiększa wydajność całej gospodarki i obniża presję na ceny, a więc działa antyinflacyjnie.

Podobnie może być ze szkoleniem kadr i edukacją. Utworzenie państwowych szkół zawodowych kształcących spawaczy, programistów czy techników robotyki na potrzeby przemysłu zbrojeniowego zwiększa podaż wykwalifikowanej siły roboczej. Gdy brakuje fachowców, ich płace rosną, a to może napędzać inflację. Inwestycja w edukację to napięcie łagodzi.

Dobrym przykładem antyinflacyjnej inwestycji może być też rozwój technologii podwójnego zastosowania. Dajmy na to: państwo rozwija produkcję dronów, które mogą być używane zarówno wojskowo, jak i cywilnie – do dostaw czy monitoringu upraw. W ten sposób rozważnie finansując, można bezinflacyjnie tworzyć nowe sektory przemysłu i nauki, które w przyszłości będą dostarczać towary, usługi i wdrożenia na rynek cywilny, zwiększając ogólną podaż.

Jeśli stan gospodarki grozi inflacją, trzeba i można ją kontrolować nie tylko stopami redyskontowymi NBP, ale także powiększając podatki. Jasne, że dbając o równość, opodatkować należy progresywnie. Naszym orłom nigdy to do głowy nie przyjdzie.

A co działa proinflacyjnie?

Jak wiesz, emisja własnej waluty, czyli złotówki wydane w kraju, mogą w określonych warunkach wpływać na wzrost inflacji. Jeśli w kraju panuje pełne zatrudnienie, te pieniądze tylko zwiększają popyt, bo żeby pozyskać pracowników do nowych inwestycji, trzeba by podnieść płace, a podaży krajowej to nie zwiększa. Podobnie byłoby wtedy, gdyby rząd zlecił produkcję w istniejących zakładach, ale te już pracowałyby na pełnych obrotach. Wtedy zaczęłyby konkurować o surowce i pracowników z innymi sektorami. I to może wywołać inflację popytową – zbyt dużo pieniądza goni wtedy za tą samą ilością towarów.

Natomiast dewizy wydane na zakupy dewizowe za granicą inflacji nie powiększą. Jednak jeśli nie będą zainwestowane we własną produkcję, tworzącą krajowe moce wytwórcze, nie wpłyną na hamowanie inflacji tak, jak by mogły.

Co jednak, jeśli za wyemitowane złotówki, po zamianie na dolary czy euro, kupi się gotową broń za granicą? Te pieniądze wypływają z gospodarki. Czy działają proinflacyjnie? Raczej nie. Warto jednak zwrócić uwagę na jeszcze jedną okoliczność. Rządowy program SAFE to kredyt w euro i całkiem słusznie ogranicza możliwość zakupów tylko do państw UE, a same zakupy realizowane są za pożyczone euro. To nie wpływa na wzrost inflacji. Tyle że rząd nie zamierza przestać kupować uzbrojenia z USA za dolary. A żeby pozyskać dolary, musi je kupić na rynku walutowym. Transakcja na tak ogromną skalę – dziesiątki miliardów złotych – zwiększa popyt na dolara, co może osłabić złotego. Słabszy złoty oznacza zaś, że wszystkie towary importowane – paliwa, komponenty do produkcji i cała reszta – stają się droższe. To generuje inflację kosztową, która potem rozlewa się na całą gospodarkę.

I jeszcze jedno spostrzeżenie. W czasie II wojny światowej USA, emitując masę dolarów, uruchomiły gigantyczny program inwestycyjny – budowały fabryki, szkoliły pracowników, rozwijały technologie. To nie tylko pomogło wygrać wojnę, ale też stworzyło potężny przemysł, który po wojnie napędzał gospodarkę – od samochodów po elektronikę. Owszem, w czasie wojny występowały braki, ale po 1947 r. amerykańska gospodarka weszła w okres bezprecedensowego wzrostu bez inflacji. To ponury dowód na to, że inwestycja we własne moce wytwórcze – nawet w produkcję narzędzi śmierci – nie szkodzi gospodarce.



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Dziś nasi przerażeni wizją wojny politycy i generałowie czują się zmuszeni do wydawania setek miliardów na zakupy broni w USA. Pytanie, czy czynią słusznie. Czy lęk nie każe im zapomnieć o znacznie właściwszych inwestycjach?

Produkcja broni to śmierdzący biznes, ma sens jedynie wtedy, jeśli naprawdę trzeba się bronić – ale dla gospodarki jest prorozwojowa i antyinflacyjna. Smutna to prawda. Smutna współczesna rzeczywistość.

Koszt życia w zaścianku

Jak widzisz, rozważając wdrożenie któregoś z programów SAFE, należałoby dokładnie zbadać i przemyśleć strukturę wydatków. Tyle że w naszym kraju, chorym na nienawiść, jest to niemożliwe. Okazuje się, że nieosiągalna jest nawet pozornie prosta czynność: żeby odpowiedzialni za sprawę politycy i urzędnicy z namysłem pochylili się nad problemem i rozwiązali go w jakiś cywilizowany sposób.

Prawdziwy problem nie dotyczy tego, kto kogo. Dotyczy tego, czy ktokolwiek chce się dogadać. Przy minimalnym poziomie racjonalności można by dziś zgodzić się na europejski SAFE jako źródło stabilnego, długiego finansowania zbrojeń, a jednocześnie przygotować zmiany prawne, pozwalające wykorzystać możliwości NBP, w tym z operacji na złocie, jako wkład krajowy, wzmocnienie Funduszu Wsparcia Sił Zbrojnych (FWSZ), dofinansowanie służb, policji itd. Można by też ustalić wspólny harmonogram prawny, dzięki któremu pieniądze z Brukseli i z NBP będą się uzupełniać zamiast wzajemnie wykluczać. Niby można by – a jednak nie można. I właśnie to jest absurd.

Wzajemne wykluczanie to fundament zaściankowej polskiej polityki. Najtrudniejsze do przyjęcia jest dla mnie to, że wykluczany jesteś w ten sposób ty i ja. Nasz interes. Interes społeczny. Sejf już rozpruli. Teraz dzielą polityczne łupy – rozpruwają nas.

ANNA GRODZKA

Polityczny dom wariatów

Czyj SAFE jest gorszy? Oba są gorsze.

Politycy z pierwszej linii nie muszą się martwić czekaniem na zabiegi czy wizyty lekarskie. Korzystają z prywatnych przychodni. Nie muszą się martwić spłatą długoletnich kredytów na zakup lokalu mieszkalnego. Mieszkania już mają – często niejedno. Nie nękają ich niskie zarobki ani upokarzające umowy śmieciowe – ministerialne pensje i diety poselskie wystarczają na życie, a status parlamentarzysty daje gwarancję zatrudnienia. Przynajmniej na cztery lata, ale nawet po utracie ministerialnych czy poselskich apanaży – o prezydenckich nie wspominając – raczej nie pójdą na kasę do Biedronki, nie grozi im też zagraniczna tułaczka za chlebem. Chyba że trafi się im okazja załapania się na lukratywną posadę w jakiejś organizacji międzynarodowej czy choćby na ambasadorską placówkę. I tym różnią się od pozostałej części społeczeństwa.

Nic zatem dziwnego, że mało ich interesuje przeznaczanie środków na wspomniane powyżej cele. Priorytetem są wydatki na zbrojenia, oficjalnie nazywane obronnością. I tu zaczyna się standardowa przepychanka o to, czyja propozycja zbrojeniowa jest lepsza, a czyja gorsza. Czy lepiej jest zaciągnąć długoletnią pożyczkę, czy przekuć złoto na czołgi? Aby odpowiedzieć na to pytanie, posłużę się cytatem Józefa Stalina. Na pytanie, które odchylenie jest gorsze – prawicowe czy lewicowe – odpowiedział: oba są gorsze.

Forsując swoje racje, oba przeciwstawne obozy polityczne posługują się argumentami z gatunku demagogicznych. Sprzyjająca opozycji z prezydentem na czele stacja telewizyjna Republika umieściła na podekranowym pasku lapidarne stwierdzenie, iż SAFE jest to „hołd niemiecki Tuska" – tak jak gdyby to kanclerz Merz nakazał Polsce, która zresztą sama to zaproponowała, zaciąganie pożyczki, która tylko w części ma być wydatkowana na zakup produkcji *made in Germany*. Niech się specjaliści od wojskowości wykłócają o to, czyje uzbrojenie jest lepsze – niemieckie czy amerykańskie. Ja tylko powtórzę: oba są gorsze.

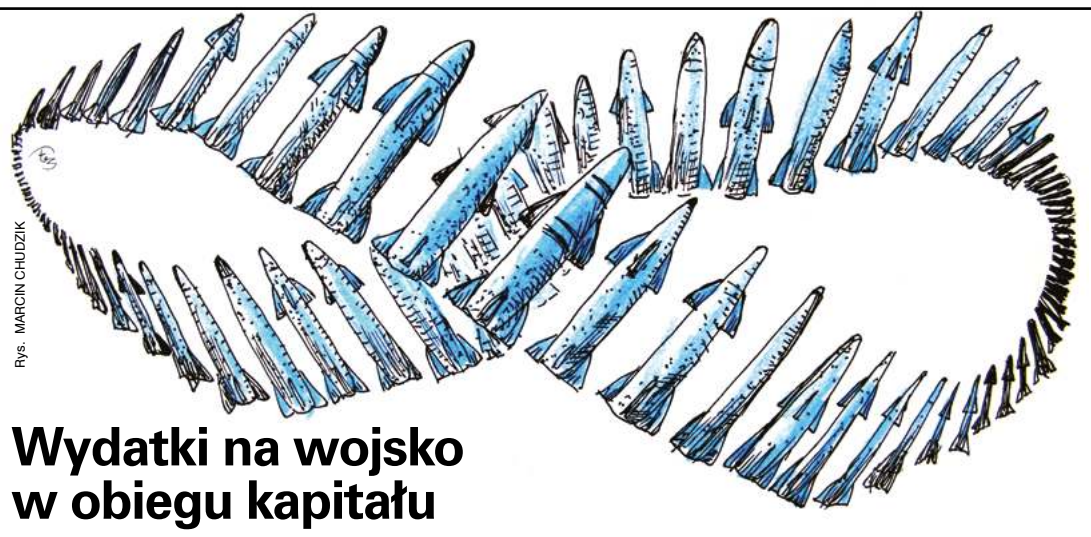
Z kolei strona rządowa biadoli nad tym, że brak środków z SAFE spowoduje, że zabraknie pieniędzy na straż graniczną i policję. Co do straży granicznej – byłbym za. Im mniej łapaczy i wypychaczy uchodźców, tym lepiej. Natomiast z użalania się nad policją wynikałoby, że do dziś nie otrzymuje pieniędzy z budżetu – a jednak mimo to funkcjonuje. Kolejny polski cud gospodarczy. Natomiast obie strony sporu wraz z całą elitą polityczną są zgodne co do tego, że należy się na potęgę zbroić, ponieważ trwa wojna za naszą granicą.

Wnioskują, że jak tylko ta wojna się skończy, to Putin niechybnie zaatakuje Polskę. Nikt nie pyta, po jaką cholerę Rosja miałaby się wikłać w kolejną wojenną awanturę – na dodatku z krajem należącym do NATO.

W czasach PRL krążył dowcip na temat jednej z ówczesnych organizacji młodzieżowych. Na pytanie, czym różni się ona od domu wariatów, odpowiedź była prosta: w domu wariatów przynajmniej dyrekcja jest normalna. Obecnie nie da się tego powiedzieć o czołowych formacjach politycznych. Widać, że dekomunizacja zadziałała.

BOLESŁAW K. JASZCZUK

eprasa.pl 5802c0ae32


Rys. MARCIN CHUDZIK

Wydatki na wojsko w obiegu kapitału

Czołgi zamiast samochodów

Dlaczego Wuj Sam przeznacza już prawie bilion dolarów na wojsko?

Prywatne w większości korporacje zbrojeniowe otrzymują w banku kredyt, by zrealizować zamówienie, np. na lotniskowiec Gerard Ford. Kredyt ten otwiera – za zgodą Kongresu – Rezerwa Federalna. Po prostu przelewa pewną sumę elektronicznych dolarów na rachunek banku kontrahenta rządu. Producenci uzbrojenia zakupują w innych firmach potrzebne projekty, komponenty, maszyny, prace konstrukcyjne; płacą własnym pracownikom uczestniczącym w tym projekcie. Firmy zewnętrzne uzyskują dochody, które ostatecznie stają się depozytami banków. I koło się zamyka. Koniunktura trwa, bije licznik wzrostu gospodarczego, będą podatki i zadowoleni wyborcy.

A czy kolejne generacje broni zostaną zużyte w operacjach humanitarnych, czy w Iranie, Wenezueli, Ukrainie, czy ostatecznie wylądują na pustyni Arizony – ma drugorzędne znaczenie. Chodzi o to, aby nie znalazły się w sklepie z (autentycznym) szyldem; „Jezus cię kocha – skup i sprzedaż broni". Dlatego Pentagon i różne jego wyspecjalizowane fundusze (jak agencja rządowa DARPA, czy Sematech w połowie finansowany przez Pentagon) wspierały powstanie nowoczesnych technologii: radaru, układów scalonych, stron www, przemysłu półprzewodnikowego. W Krzemowej Dolinie pojawiły się finansowane przez DARPA badania nad wykorzystaniem sztucznej inteligencji i autonomicznych systemów uzbrojenia (autonomiczne statki, samoloty, łodzie podwodne). Tu też powstały technologie cyfrowe i chipy decydujące obecnie o konkurencyjności poszczególnych wyrobów i gałęzi przemysłu.

Słabość Europy

Pytanie brzmi: czy Polska zasilana funduszem SAFE w euro pójdzie w ślady globalnego szeryfa? Czy znów wyprodukuje pociski do armat i czołgów? Może transporter na fińskiej licencji?

Do tej pory słabość technologiczna gospodarek europejskich miała u źródła stosunkowo niewielkie wydatki na zbrojenia. Unię Europejską – która wszak nie jest państwem – osłabia brak wspólnej polityki fiskalnej, przemysłowej, obronnej. Nie ma też surowców energetycznych i minerałów. Życie w cieniu nuklearnej potęgi atlantyckiego sojusznika rozleniwiło tutejszych posiadaczy kapitału pieniężnego. Swoje zyski lokowali ostatecznie w amerykańskie obligacje i produkty sektora finansowego – np. niemieccy krezusi w latach 2002–2008 kupili za granicą aktywa o wartości ponad 2,7 bln euro.

W Europie podobną do amerykańskiej zbrojeniówki rolę odgrywał częściowo przemysł motoryzacyjny. W Niemczech, Francji, Włoszech, Hiszpanii oraz ich środkowoeuropejskich filiach zatrudniał 13 mln pracowników. Tworzył 7 proc. europejskiego PKB i odpowiadał za 10 proc. całkowitego eksportu. Sytuacja się zmieniła, kiedy z neoliberalnej globalizacji zwycięsko wyszedł przemysł chiński – z czasem równie nowoczesny, za to z ułamkowymi kosztami pracy. Po prostu konkurent ma do eksploatacji, niczym w XIX-wiecznej Anglii, 160 mln wiejskiej „płynnej" populacji. Przeplata ona pracę na niewielkiej działce rolnej z pracą w centrach przemysłowych wybrzeża. Do tego chińskie firmy konkurują ze sobą cenami i nie osiągają dużej akumulacji. Ta tzw. inwolucja – rozwój wsteczny – pogrąża nie tylko ich biznes, ale również zachodnich konkurentów. Produkty made in China są coraz tańsze. Tymczasem w Europie nie można więcej uelastyczniać stosunków pracy czy oszczędzać na usługach publicznych. „Ekoterroryzm" – zamulająca polskie mózgi fantasmagoria prawicy – ma niewiele z tym wspólnego.

Make Europe Great Again

Ale nadszedł sprzyjający moment do rekonwersji przemysłu – przestawienia go na produkcję uzbrojenia. To skutek beztroskiego przyzwolenia na natowską ekspansję na Wschód.

Brak geopolitycznego realizmu doprowadził do konfliktu rosyjsko-ukraińskiego. Następstwem było wstrzymanie importu energetycznych surowców, wzrost cen gazu i recesja w kluczowych branżach: samochodowej, produkcji nawozów… Wzrosły też ceny energii dla gospodarstw domowych. Stany Zjednoczone stały się beneficjentem konfliktu – powiększyły rynek zbytu swojego, kosztownego ekologicznie skroplonego gazu łupkowego oraz „produktów" korporacji zbrojeniowych.

Do tego deindustrializacja kraju, słabnięcie dolara jako waluty rezerwowej świata, konkurencja Chin, Indii – przywróciły do łask tradycyjny amerykański imperializm. Rej wodzą teraz amerykańskie korporacje teleinformatyczne, zbrojeniowe, wydobywcze, fundusze spekulacyjne („zimne potwory", jak je określił Jean Ziegler). Wspomaga ich cenną (w dolarach) radą siódemka firma konsultingowych, doradczych, audytorskich na czele z McKinsleyem, PwC czy Deloitte.

Do tych kanibali światowej nadwyżki dołączą teraz przezbrojeni europejscy oligarchowie – posiadacze udziałów i akcji firm zbrojeniowych. Oni będą zarabiać nie na produkcji samochodów, tylko czołgów (może nawet autonomicznych), dronów, rakiet. Żeruje też na wojennym wzmożeniu nie tylko rodzima mapeteria, ale też lokalna soldateska i komentatorska gawiedź, która upaja się bitwą w polskiej politycznej piaskownicy (pisała o tym Anna Grodzka: „Dylemat kasiarza", „NIE" 11/26).

Pożegnanie ze złotą regułą

Plan ReARM Europe jest receptą na zastąpienie zbrojeniówką przestarzałych sektorów produkcyjnych. Uchwalona w marcu 2024 r. strategia rozwoju przemysłu zbrojeniowego przewiduje, że do 2030 r. co najmniej 50 proc. broni krajów UE będzie pozyskiwane na miejscu. Wspólne zakupy zwiększą się z 18 proc. do 40. A wszystko kosztem długu, który wyniesie 800 mld euro.

Z tego sporo uszczkną placówki naukowe i działy prac badawczo-rozwojowych firm. W Europie na razie tylko holenderska firma ASML do litografii EUV (w skrajnym nadfiolecie) stanowi niezbędne ogniwo w produkcji półprzewodników. Dlatego zamówienia popłyną też do szczęśliwych amerykańskich producentów uzbrojenia: Northrop Grummana, Lockheed Martina czy Raytheona.

Volkswagena, Renault czy Fiata zastąpią teraz kluczowe korporacje zbrojeniowe takie jak m.in. Rheinmetall (Niemcy), Thales (Francja), Leonardo (Włochy), BAE Systems (Wielka Brytania) czy Indra (Hiszpania). Wraz z początkiem wojny na Ukrainie nadeszły dla nich tłuste lata. Tylko w 2024 r. Rheinmetall miał w portfelu zamówienia wartości 55 mld euro. Thales czy Leonardo kilkunastokrotnie zwiększyły swoją wartość giełdową od 2022 r.

Wspólny zbrojny zaciąg wymusił korektę ordoliberalnej doktryny finansów, która legła u podstaw polityki monetarnej Europejskiego Banku Centralnego, będącego klonem Bundesbanku. Dotychczas kierował się przyjętą w 2012 r. niemiecką „złotą regułą" – 3 proc. deficytu budżetowego – z której uczynił europejski kanon. Do tego niezależność banku centralnego. W praktyce chodzi o zakaz finansowania przez bank centralny wydatków budżetowych, by zapobiec inflacji, utracie wartości pieniądza. W końcu dlaczego na finansowaniu deficytu nie mieliby zarabiać tzw. inwestorzy – czyli posiadacze kapitału portfelowego, pieniężni rentierzy?

Teraz trzeba się rozstać z mitem deficytu i przeprosić z nowoczesną teorią monetarną. Chodzi o to, żeby się zadłużać we własnej suwerennej walucie. Granicą wydatków publicznych jest wówczas tylko inflacja.

Nie ma arbitralnych kryteriów dotyczących rozmiaru deficytu budżetowego. Wystarczy odrzucić neo- i ordoliberalne dogmaty. Ale te beztrosko wpisali do konstytucji nadwiślańscy liberałowie – koledzy partyjni dzisiejszego polskiego premiera. To ten sam nasz ukochany marionetek – obrońca rodzimego i europejskiego biznesu, choć bezpieczeństwo ojczyzny „szarpie deklinacją na tysięczną modłę".

Wojna z Ziemią

Kto zapłaci za zbrojenia? Przede wszystkim planeta. Ropa jest wciąż dobrem strategicznym, bo napędza samoloty, czołgi, łodzie podwodne, lotniskowce i wszystko, co się porusza na polu bitwy. Żołnierzy napędza żywność, podkręcana z kolei nawozami wyprodukowanymi z gazu ziemnego. Nowym zasobem strategicznym stają się metale: kobalt, tantal, cyrkon, ind i metale ziem rzadkich, zwłaszcza używany do produkcji półprzewodników gal. 80 proc. metali ziem rzadkich wydobywa się w Mongolii Wewnętrznej – prowincji ChRL. Bez nich nie może się obejść ani elektromobilność, ani energetyka odnawialna, ani broń robotyczna, jak dron napędzany baterią słoneczną. Dlatego wojna już trwa. To wojna wydana planecie. W tej wojnie nie będzie wygranych.

TADEUSZ KLEMENTEWICZ

ETYKA BEZBOŻNA

Tęsknię za czasami, kiedy największym problemem Polski byli biskupi

Afera z SAFE podniosła konflikt polityczny w Polsce na wyższy i chyba ostateczny poziom. Weto Nawrockiego wprawdzie niewiele znaczy i nie przeszkodzi Polsce w uzyskaniu niezwykle nisko oprocentowanej długoterminowej pożyczki na zbrojenia, lecz w sposób jednoznaczny odsłoniło intencje obozu tzw. prawicy. A jest nią wyprowadzenie Polski z Unii Europejskiej.

Karty zostały wyłożone na stół. Zaczyna się rozgrywka. Po jednej stronie wszelkiego autoramentu narodowcy, populiści i faszyści, a po drugiej cała reszta. Za ową z grubsza demokratyczną resztą stoi jak na razie większość społeczeństwa, ale to może się zmienić. Wszystko zależy od tego, jakie filmiki i memy będą miały w najbliższych latach większe zasięgi. Tak, to jest aż tak trywialne.

Przynależność Polski do UE jest, jak to się mówi, racją stanu. Można więc powiedzieć, że w polskiej awanturze politycznej chodzi dziś o fundamentalne sprawy egzystencjalne – właśnie o rację stanu. Dla jednych to wyrażenie coś znaczy, a dla innych nic – ot, racja, sracja, a liczą się władza i hajs. Jeśli w 2027 r. wygrają wrogowie UE, nihiliści i szydercy pokroju Czarnka, to znajdziemy się na prostej drodze do katastrofy. Po raz pierwszy od 1989 r. mamy jako społeczeństwo podjąć fundamentalne rozstrzygnięcia, od których zależy całkiem realnie i konkretnie los kilku przyszłych pokoleń. Paradoksalnie nie bardzo wiemy nawet, gdzie konkretnie jest zagrożenie.

Sracja stanu


Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Linie podziału się zatarły. Wykolejenie Polski może się podobać w różnych stolicach i sami nie wiemy, w których. Mętna, niejasna sytuacja sprzyja zaś zdrajcom i warchołom, dla których nic się nie liczy, żadna racja-sracja, lecz wyłącznie to, aby się dorwać do władzy.

Stajemy na krawędzi, a wokół nas mgła. A w takich czasach zmienia się i logika, i etyka politycznego myślenia. Przestawia się ono na tory egzystencjalne, a to otwiera perspektywę na usprawiedliwianie radykalnych i sprzecznych z prawem postępków. Wszak tryb alarmowy „Racja Stanu" włącza kilka guzików, które w normalnych warunkach są nieaktywne. To już prawie tak jak wojna! Na jednym z tych guzików napisane jest „środki nadzwyczajne", na drugim „wyższa konieczność", na trzecim „stan wyjątkowy". Dla etyki posługiwanie się tymi guzikami to nie lada wyzwanie. Bo jak oceniać kogoś, kto wszelkimi sposobami broni się przed zagładą?

W doktrynie prawa natury wszystko zaczyna się od stwierdzenia, że każdy chce żyć i będzie swego życia bronił, jak potrafi i jak tylko może. I ma do tego prawo. Prawo, które nie jest ustanowione ani ogłoszone, lecz jest właśnie „naturalne", a więc wrodzone. Dopiero wtedy, gdy na tę pierwotną dzikość nałożone są wędzidła praw stanowionych, a władza państwowa skutecznie chroni bezpieczeństwo obywateli, ich święte i naturalne prawo do walki o przetrwanie zostaje przekazane organom władzy i w tym sensie niejako zawieszone. W normalnych warunkach, gdy ktoś mi zagraża, mogę się zwrócić o pomoc do państwa. Jednakże gdy warunki nie są normalne, bo panuje anarchia, a władza jest bezsilna, znów muszę brać sprawy w swoje ręce. Działam wtedy w warunkach zwanych stanem wyższej konieczności. Nie mam wyjścia – muszę imać się przemocy i łamać prawo, aby przetrwać.

Można by sądzić, że w takiej sytuacji, gdy zagrożone jest życie człowieka, a podobnie i wówczas, gdy zagrożony jest suwerenny byt państwa i wolność jego obywateli, cały komentarz etyczny sprowadza się do tego, aby ustalić, czy zagrożenie jest prawdziwe i gdzie leżą granice tego, co nazywa się obroną konieczną. To prawda, że w warunkach anarchicznych – a takie powstają na przykład wówczas, gdy u władzy znajdują się ludzie sabotujący i niszczący państwo albo zwykli zdrajcy i obcy agenci – najważniejsze jest, aby panujące bezprawie nie stało się pretekstem do niepotrzebnej przemocy i tym większego bezprawia. Na tym jednakże analiza się nie kończy.

Obecny rząd będzie musiał stawić czoła niepohamowanemu warcholstwu i wewnętrznym zamachom na suwerenność Polski. Mamy przejęty przez wroga państwa urząd prezydencki. Mamy zdewastowany Trybunał Konstytucyjny. Grozi nam przejęcie władzy przez ludzi pokroju Czarnka i Brauna. Skończyły się czasy, gdy największym niebezpieczeństwem dla Polski było panoszenie się rozbisurmanionych biskupów, dojących państwo i szantażujących klasę polityczną. Teraz możliwe jest naprawdę wszystko. Dlatego rząd, chcąc nie chcąc, będzie musiał kierować się prawem sytuacji nadzwyczajnej, stawiając rację stanu ponad wszystkim, a w stosowaniu prawa kierować się duchem konstytucji jako wyznacznikiem ostatecznych i nieprzekraczalnych norm sprawowania władzy.

Jesteśmy skazani na rządy konstytucyjne, odwołujące się do środków nadzwyczajnych, takich jak niestandardowe wyroki sądów w nietypowych sprawach, uchwały sejmu i Zgromadzenia Narodowego zastępujące decyzje sabotującego państwo, lecz nieodwoływalnego prezydenta, a także dekrety i rozporządzenia rządowe wychodzące poza typowy i właściwy sobie zakres.

A jednak cel nie uświęca środków. Kto narusza prawo, działając w obronie własnej bądź w stanie wyższej konieczności, nie staje się tym samym całkiem niewinny. To jest bardzo szczególny stan, zwany kontratypem. Gdy czyn w normalnych warunkach zabroniony popełniony jest w stanie wyższej konieczności bądź w warunkach obrony koniecznej, sąd nie uznaje go za bezprawny i nie orzeka winy, jeśli tylko będzie przekonany, że zagrożenie było realne. Jednakże polityka to nie to samo co osobiste działanie, za które ponosi się odpowiedzialność karną i cywilną przed sądem. W polityce mamy do czynienia z czymś jeszcze, a mianowicie z odpowiedzialnością polityczną.

Stosowanie środków nadzwyczajnych w polityce zawsze może być podawane w wątpliwość. Nigdy bowiem nie wiadomo, jak potoczyłyby się wydarzenia polityczne, gdyby ich jednak nie zastosowano. Nikt nie wie, co by było gdyby.

Dlatego też

władza walcząca ze swoimi przeciwnikami w obronie racji stanu oraz imająca się w związku z tym nadzwyczajnych i formalnie nieprzewidzianych prawem środków zawsze ubrudzi sobie ręce.

Nawet jeśli działa całkowicie w duchu konstytucji. Kto więc przeprowadzi swój kraj przez burzę i splami się przy tym łamaniem prawa, może liczyć na wdzięczność potomnych i moralne usprawiedliwienie, lecz jego moralnym obowiązkiem staje się dymisja. Tylko wtedy można uznać, że działał naprawdę w dobrej wierze.

JAN HARTMAN

eprasa.pl 5802c0ae32

Jasnowidze Nowackiej

Pięć lat będzie trwała edukacja technika pedikiuru małego palca lewej stopy.



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

W ostatniej dekadzie polska szkoła zawodowa doczekała się pięciu lat skrobania pięt, trzech lat programowania robotów, a teraz – jak wynika z najnowszych dokumentów Ministerstwa Edukacji – prawdopodobnie także kilku lat nauki strategicznego układania kostki brukowej. Wszystko to pod kątem potrzeb rynku pracy w roku 2030.

To, że państwo chce wiedzieć, kto za kilka lat będzie potrzebny gospodarce, nie jest niczym nadzwyczajnym. Nowością jest natomiast przekonanie urzędników, że wiedzą to z dokładnością do zawodu, klasy i podręcznika. W efekcie od kilku lat Polska żyje w osobliwym systemie planowania kadrowego, w którym minister edukacji raz do roku ogłasza w „Monitorze Polskim" coś na kształt państwowego horoskopu zawodowego.

Wróże ministerialni

Dokument nosi poważny tytuł: „Prognoza zapotrzebowania na pracowników w zawodach szkolnictwa branżowego na krajowym i wojewódzkim rynku pracy". Brzmi to tak, jakby ktoś z ministerstwa potrafił przewidzieć przyszłość rynku pracy równie skutecznie jak meteorolodzy przewidują pogodę na Wielkanoc – czyli z ogromnym przekonaniem, ale bez najmniejszej gwarancji sukcesu.

Gdy ministrem edukacji był Przemysław Czarnek, państwo uznało, że skoro istnieją różne zawody, to każdy z nich musi mieć własnego technika. Nie byle jakiego. Pięcioletniego. Tak oto w klasyfikacji pojawili się technik dekarstwa, technik robotyk, technik programista czy technik spawalnictwa. Wśród zawodów uznanych za szczególnie ważne dla rozwoju państwa znalazły się m.in. automatyk, elektromechanik, murarz-tynkarz, operator obrabiarek skrawających czy monter nawierzchni kolejowej.

Ministerstwo tłumaczyło wszystko niezwykle poważnie. Zawód technika dekarstwa powstał – jak informował resort – na wniosek Polskiego Stowarzyszenia Dekarzy, które wskazało „niedobór wykwalifikowanej kadry średniego szczebla technicznego". Czyli ktoś wpadł na pomysł, żeby pięć lat uczyć młodzież przybijania dachówki.

Nie było to jednak nic w porównaniu z technikiem podologiem, czyli specjalistą od stóp. Do tej pory w gabinecie kosmetycznym wystarczało kilkudniowe szkolenie, by z pilnikiem i frezarką ruszyć na wojnę z piętami. Resort Czarnka uznał jednak, że to za mało. Polskie stopy zasługują na pięcioletnią edukację ponadpodstawową. W podobny sposób potraktowano stylistów. Dotąd byli to ludzie, którzy pomagali dobrać kolor sukienki albo przyciąć włosy tak, żeby klientka wyglądała jak człowiek. Ministerstwo uznało jednak, że taka wiedza wymaga pięciu lat edukacji.

Jednak największym dziełem systemowym tamtych czasów nie były nowe zawody, tylko coroczna prognoza zapotrzebowania na pracowników.

Instytut Badań Edukacyjnych – armia analityków, ankieterów i ludzi potrafiących zamienić statystykę w tabelę – przeszukiwał dane GUS, ZUS i Systemu Informacji Oświatowej. Rozsyłano setki ankiet do rad sektorowych i ministerstw. Wszystko po to, żeby ustalić, kto za pięć lat będzie miał robotę.

Szklana kulo, powiedz przecie

W praktyce wygląda to tak, że w lutym minister ogłasza listę zawodów przyszłości, a dyrektorzy szkół zawodowych muszą do września stworzyć dla nich klasy, programy nauczania, znaleźć nauczycieli i podręczniki. Czyli w siedem miesięcy zrobić coś, co normalnie zajmuje kilka lat.

Cała ta prognoza nie powstała jednak po to, żeby zaspokoić ciekawość statystyków. Jej sens jest znacznie bardziej praktyczny.

Na podstawie listy zawodów ministerstwo ustala wysokość subwencji dla szkół zawodowych. Jeśli szkoła otworzy klasę kształcącą w zawodzie uznanym za strategiczny, to dostaje więcej pieniędzy. Jeśli otworzy kierunek, który ministerialnej wróżce się nie spodobał – pieniędzy jest mniej.

Dyrektorzy szkół zawodowych szybko zrozumieli zasady tej gry. Jeśli państwo chce techników robotyków, to będą technicy robotycy. Jeśli za rok państwo uzna, że potrzebuje techników transportu kolejowego, to będą technicy transportu kolejowego. Program nauczania można przecież zostawić prawie ten sam. Wystarczy zmienić nazwę kierunku. Dlatego dyrektorzy otwierali nowe kierunki, a uczyli w nich tego samego co wcześniej.

Po zmianie władzy wielu spodziewało się, że ten system planowania zawodowej przyszłości Polaków odejdzie do historii razem z innymi pomysłami epoki. Nic z tego. Ministerstwo Edukacji Narodowej z nowym zapałem ogłosiło kolejną prognozę zapotrzebowania na pracowników w szkolnictwie branżowym na rok 2026. Dokument jest równie poważny jak poprzednie i – jak można się domyślić – równie proroczy. Ministerstwo tłumaczy, że jego celem jest „wspieranie szkolnictwa branżowego oraz dostosowanie kształcenia do potrzeb rynku pracy". W praktyce oznacza to dokładnie to samo co wcześniej: listę zawodów, które państwo uznało za strategiczne.

Nowe MEN nie zmieniło samego mechanizmu prognozowania. Zmieniło jedynie styl jego opisywania. Tam, gdzie za Czarnka pojawiały się górnolotne hasła o odbudowie narodowego przemysłu, dziś pojawiają się słowa o „kompetencjach przyszłości" i „dopasowaniu systemu edukacji do potrzeb gospodarki". Treść pozostaje jednak identyczna. Państwo twierdzi, że wie, ilu będzie potrzeba murarzy. Nie wiadomo tylko, skąd ma tę wiedzę.

Technik prognozowania prognoz

Gospodarka wszak jest systemem chaotycznym. Jednego roku buduje się autostrady, drugiego magazyny, trzeciego farmy wiatrowe. Firmy zmieniają technologie szybciej, niż ministerstwo zdąży opublikować kolejne rozporządzenie. A tymczasem ministerstwo zaczyna przewidywać zapotrzebowanie na zawody w poszczególnych województwach.

W jednym regionie nagle okazuje się, że przyszłością jest budownictwo drogowe. W innym – transport kolejowy. W jeszcze innym – mechanika i obróbka metali. Wygląda to tak, jakby państwo – niczym za komuny – planowało gospodarkę regionów z dokładnością do fachu.

W województwie A będą spawacze. W województwie B mechanicy. W województwie C operatorzy koparek. Problem polega na tym, że przedsiębiorstwa nie czytają „Monitorów Polskich". I jeśli w danym powiecie powstanie fabryka komponentów elektronicznych, to nagle potrzebni będą elektronicy – nawet jeśli ministerstwo zaplanowało tam akurat murarzy. Bo pracodawcy nie potrzebują ludzi, którzy przez pięć lat uczą się jednego wąskiego zawodu. Potrzebują pracowników, którzy potrafią robić różne rzeczy. Na budowie jednego dnia się obsługuje koparkę, drugiego kładzie elektrykę, a trzeciego rury. W fabryce automatyk ma kumać mechanikę, informatykę i elektronikę, bo maszyny nie psują się zgodnie z klasyfikacją ministerialną.

Dlatego nauczyciele szkół zawodowych od dawna stosują starą pedagogiczną zasadę: uczymy szeroko, a roboty człowiek nauczy się w pracy. Bo nawet jeśli ministerstwo trafnie przewidzi, że za pięć lat potrzebni będą robotnicy jakiejś branży, to szkoła i tak nie przygotuje ucznia do pracy na nowoczesnym sprzęcie. Technologie zmieniają się szybciej niż podręczniki. Automatykę przemysłową uczniowie często studiują na sprzęcie sprzed trzech dekad. A gdy po pięciu latach idą do pracy, trafiają na linię produkcyjną sterowaną przez system, którego w szkole nikt nawet nie widział. Przedsiębiorcy uczą więc nowych pracowników wszystkiego od początku.

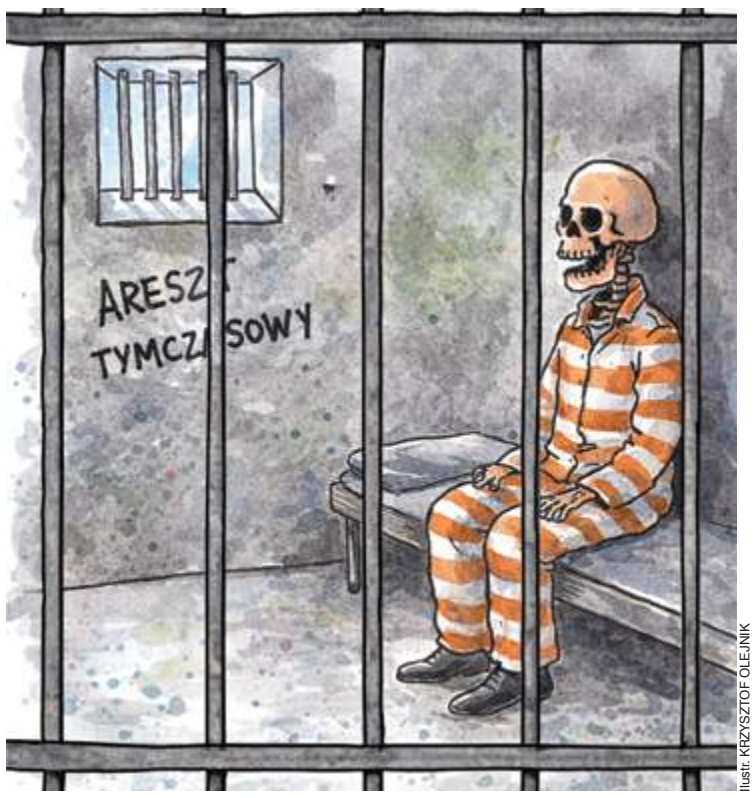
Porównanie koncepcji rozwoju szkolnictwa zawodowego w dwóch epokach jest więc wyjątkowo pouczające. Czarnek chciał państwa, w którym każdy zawód ma własnego technika. Nowe MEN chce państwa, w którym każdy technik ma prognozę.

Różnica jest mniej więcej taka jak między młotkiem a prezentacją w PowerPoincie. Jedno i drugie robi dużo hałasu, ale dach od tego nie powstaje. A gdy absolwent skończy szkołę, rynek pracy zrobi z nim dokładnie to, co zawsze robi z ministerialnymi wizjami. Sprawdzi je w praktyce. I najczęściej wyrzuci do kosza.

TADEUSZ JASIŃSKI

Młyny nie jak u dziadka

No i co z tymi rozliczeniami?



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Mój dziadek Rudolf był młynarzem. Do dziś pamiętam pochylnię do worków, na której jako pacholę zjeżdżałem w bawełnianych porciętach na chłopskie wozy. Mąka jednak była zawsze na dziś i to przesiana przez czterositowy plansichter. Powoli mieliły tylko młyny sprawiedliwości. I to im zostało.

Polski niemrawy aparat wymiaru sprawiedliwości potrafił w polskich więzieniach i aresztach śledczych osadzić ponad 70 tys. osób. To rekord Unii Europejskiej. Najgorsze jest jednak to, że w Polsce ponad 10 proc. osadzonych stanowią osoby tymczasowo aresztowane – i wskaźnik ten mało się zmienia, niezależnie od zmiany warty w obu pałacach. Prezydent właśnie zawetował ustawę, która miała wsadzanie w śledztwie ograniczyć. Znaczna część tej praktyki to areszty wydobywcze, które skłonić mają osadzonych do skruchy i „dobrowolnych" wyznań. Na wolności w międzyczasie szwenda się 38 tys. prawomocnie skazanych bandziorów. Przypadkowe zatrzymanie sprawcy kolizji, interwencja w sprawie przemocy domowej – często kończą się zatrzymaniem poszukiwanego przez prawo przestępcy. Strach pomyśleć, co by się stało, gdyby wszystkich ich naraz zgarnięto.

Nie dotyczy to jednak wałęsających się w polskim parlamencie polityków. Ci mimo stawianych im zarzutów nadal stanowią polskie prawo – nierzadko służące ich bezkarności. Całej listy hochsztaplerów polityczno-gospodarczych kaczystowskiej kamaryli wraz z postawionymi im zarzutami w jednym numerze gazety zmieścić nie sposób. Tymczasem z gromnicą szukać umoczonego w jakąkolwiek aferę polityka, który dostałby prawomocny wyrok i w dodatku go odsiedział. Wisienką na przestępczym torcie PiS-u stanie się zapewne patron afery „willa plus" Przemysław Czarnek, który ma być tajną bronią prezesa w walce o odzyskanie elektoratu – a tym samym władzy. Śledczy tymczasem analizują, czy przyszły premier nie powinien usłyszeć zarzutów jako były minister edukacji i nauki. Póki co ciągnące się miesiącami radomskie śledztwo w sprawie „willi plus" zostało znów o pół roku przedłużone, a Czarnek do tej pory nie został nawet przesłuchany przez prokuraturę.

Beneficjenci czarnkowych partyjnych suwenirów robią na nich tymczasem niezłe interesy. Na przykład zakupiony z czarnkowej donacji dworek w Jadwisinie zdążył już trafić na rynek nieruchomości. Zamiast edukacyjnej działalności niekomercyjnej, która była warunkiem uzyskania dotacji, prowadzony jest tam dochodowy *escape room* z biletami od 190 do 300 złotych od łebka. Na zakup dworku ministerstwo przyznało 918 tys. złotych dotacji. Dziś właścicielka wystawiła budynek na sprzedaż za 2,87 mln zł.

Czarnek to tak naprawdę pikuś przy innych pisowskich hochsztaplerach – jak wyliczył premier Tusk na jednej z konferencji prasowych: „w 2023 roku różnym fundacjom, stowarzyszeniom, związkom wyznaniowym związanym z rządzącą wówczas partią przyznano 524 dotacje celowe o łącznej wartości 370 mln złotych, większość z nich bez konkursów". Czarnkowe manipulacje nabierają jednak szczególnej wagi w związku z namaszczeniem go przez Kaczyńskiego na przyszłego premiera polskiego rządu.

Media donoszą, że prokuratura prowadzi setki postępowań w sprawie szemranych interesów poprzedniej władzy. Do dziś zarzuty usły-

eprasa.pl 5802c0ae32

Tusk idzie drogą Czarnka i robi z naukowców durniów

Nobel Washing

W najbliższym czasie Polska wzbogaci się o kolejnego noblistę. Narodowe ubogacenie naukowe dokona się przez przeszczep. Profesor Victor Ambros, amerykański biolog molekularny i laureat medycznego Nobla w 2024 r., którego ojciec był Polakiem, postanowił wystąpić o polskie obywatelstwo. Naukowiec podkreśla, że traktuje to jako sposób uhonorowania ojca, ciotki i całej rodziny.

Co więcej, Ambros chce wykorzystać rozgłos po otrzymaniu Nagrody Nobla i wzmocnić atrakcyjność kraju nad Wisłą jako miejsca pracy badawczej. Podczas spotkania z premierem Tuskiem słynny biolog przedstawił plany współpracy z polskim środowiskiem naukowym oraz ściągnięcia do nowej ojczyzny najzdolniejszych młodych naukowców.

– Jest przekonany, że Polska to jedno z najbardziej atrakcyjnych miejsc na świecie właśnie dla nauki, dla młodych naukowców. My mu w tym pomożemy – zapewnił Tusk. Odważna deklaracja, jeśli wziąć pod uwagę, że z powodu braku kasy w niektórych konkursach grantowych Narodowego Centrum Nauki nawet 90 proc. wnioskujących odchodzi z kwitkiem.

Granda o granty

Wspomniane Centrum (NCN) to kluczowa polska agencja, która od 15 lat finansuje badania podstawowe (o tym szczegółowo później) we wszystkich dziedzinach naukowych. Od początku swojej działalności zafundowała ponad 34 tys. projektów o łącznej wartości 19,7 mld zł, z udziałem kilkudziesięciu tysięcy badaczy. Jest się z czego cieszyć, kłopot w tym, że od kilku lat agencja jest chronicznie niedofinansowana, a po zmianie ekipy rządzącej jej zubożenie osiągnęło stan krytyczny. Bez grantów NCN młodzi naukowcy i nowe zespoły badawcze praktycznie nie mają szans na rozwój. W programie koalicyjnym z 2023 r. nauka figurowała jako priorytet. Obiecywano zwiększenie nakładów na badania do 2 proc. PKB, wsparcie uniwersytetów i innowacji. Niestety, ten, jak i wiele z pozostałych 99 konkretów, spłynął z nurtem Wisły.



Rys. BARTŁOMIEJ BELNIAK

NCN powstało na wzór najważniejszej europejskiej instytucji tego typu – Europejskiej Rady ds. Badań (European Research Council, ERC) – która jest światowym wzorem wyłaniania najlepszych projektów naukowych. Ustawową zasadą działania centrum jest polityczna niezależność i finansowanie tylko najlepszych projektów w oparciu o decyzje zewnętrznych (obecnie głównie międzynarodowych) ekspertów w ramach systemu peer-review. Ten model działania koszmarnie gniótł ego ostatniego ministra edukacji i nauki w rządzie PiS Przemysława Czarnka. Uważał on Centrum za instytucję zbyt niezależną i trudną do politycznej kontroli. Priorytetem Czarnka były jego własne programy ministerialne z kartonowymi czekami (m.in. Polski Ład dla Nauki) i subwencje uznaniowe dla lojalnych politycznie uczelni. NCN ciężko było podporządkować, ale można było finansowo zagłodzić, żeby osłabić jego rolę.

Za czasów panowania Czarnka do sprawnego funkcjonowania NCN brakowało kilkuset milionów złotych rocznie. Dla porównania: w 2015 r. budżet instytucji wyniósł 871 mln zł i przez kilka lat puchł dynamicznie (ponad 40 proc.). Od 2018 r. wzrósł nominalnie tylko o 13 proc., co przy wysokiej inflacji oznaczało realny spadek o kilkanaście procent. Państwowa dotacja celowa na NCN w 2022 r. wyniosła niespełna 1,4 mld zł, dokładnie tyle samo co rok wcześniej. Czarnek powołał 12 nowych członków Rady NCN, co miało zwiększyć wpływ rządu i położyć kres „idiotycznie ułożonym" procedurom grantowym. Odgrażał się też, że po wyborach 2023 r. agencja zostanie zlikwidowana przez połączenie jej z NCBiR i Agencją Badań Medycznych w jedną centralną instytucję. Tak się nie stało, choć efekty jego piruetów były słabe: spadek konkurencyjności polskiej nauki podstawowej, odpływ talentów i wskaźnik sukcesu na poziomie loterii.

Kiedy rządowa wajcha się przestawiła, środowisko naukowe odetchnęło z ulgą. Nie na długo. W 2024 r. rząd zwiększył finansowanie o przysłowiowy piczy kłak (z 1,392 na 1,443 mld zł). Po protestach naukowców i kampanii medialnej dorzucił 200 baniek. W listopadzie 2024 r. premier Tusk zapowiedział 500 mln wsparcia dla instytucji i młodych talentów w obligacjach skarbowych. Brzmiało zajebiście, pojawił się jednak pewien problem. Prawo stanowiło, że NCN może obracać gotówką z dotacji budżetowej, a nie papierami wartościowymi. Resort finansów przez osiem miesięcy główkował, czy NCN w ogóle może legalnie skorzystać z tej formy dotacji bez zmiany ustawy. Mechanizm w końcu klepnięto, dzięki czemu przez kolejnych osiem lat instytucja będzie mogła siorbnąć 60 zł mln rocznie. Samej systemowej dotacji jednak nie zwiększono. Ba, jej wzrostu nie powiązano także z PKB, jak wnioskowali naukowcy. Chwilę przed uchwaleniem budżetu na 2026 r. wiceminister nauki prof. Marek Gzik powiedział wprost, że budżet po trudnych rozmowach w koalicji nie pozwala podnieść wydatków na NCN. Na początku marca w komunikacie z okazji jubileuszu 15-lecia Centrum Ministerstwo Nauki chwaliło osiągnięcia jednostki, ale o dosypaniu do paśnika nie wspomniało. Efekt? Dalsza utrata talentów i osłabienie polskiego potencjału badawczego.

Miara sukcesu

Narodowe Centrum Naukowe jest trampoliną dla rodzimych mózgów do sięgania po granty z wyższej półki wspomnianej wcześniej Europejskiej Rady ds. Badań. NCN prowadzi warsztaty, dni otwarte z przedstawicielami ERC, system stypendiów dla aplikantów, a także obejmuje ich wszelkim mentoringiem. Krótko mówiąc, beneficjenci NCN często sięgają po prestiżowe granty z ERC (nawet do 2,5 mln euro na projekt!), które trafiają do polskich uczelni, instytutów PAN i instytutów badawczych, gdzie są realizowane projekty.

Aby agencja spełniała swoje zadanie, optymalny poziom dla systemu grantowego powinien wynosić 25–30 proc. Nazywa się go fachowo współczynnikiem sukcesu i (mówiąc skrótowo) jest to procent wniosków, które ostatecznie otrzymują finansowanie spośród wszystkich złożonych i ocenionych pozytywnie wniosków. Gdy współczynnik spada w okolice 15–20 proc., zaczyna się spirala patologii.

Nawet bardzo dobre projekty są spuszczane po brzytwie, lądują na listach rezerwowych albo są zwyczajnie odrzucane. To – delikatnie mówiąc – demotywuje utalentowanych badaczy, którzy dają strzałę za granicę. System staje się kosztowny i nieefektywny, ocena setek wniosków pożera masę środków. Zaburza się ewaluacja dyscyplin naukowych, bo jednym z jej kryteriów jest wysokość pozyskanych grantów w konkursach krajowych i międzynarodowych. To z kolei prowadzi do koncentracji kasy w najsilniejszych ośrodkach w dużych miastach i wykluczenia reszty, bo tylko one mają zasoby na przygotowanie perfekcyjnych wniosków. Polski współczynnik sukcesu oscyluje w granicach 12–14 proc. Dlaczego w 20. gospodarce świata naukę wsadza się w okrężnicę? Rozpracujmy to wspólnie.

NCN finansuje tzw. badania podstawowe. Zgodnie z ustawową definicją są to prace empiryczne lub teoretyczne podejmowane przede wszystkim w celu zdobycia nowej wiedzy o podstawach zjawisk i obserwowalnych faktów bez nastawienia na bezpośrednie zastosowanie komercyjne lub użytkowanie…

Ochrona zdrowia się sypie, trzeba się zbroić, zatem można przyciąć na dyrdymałach, prawda? Otóż niekoniecznie. Państwa, które systematycznie w nie inwestują – Singapur, Izrael, Korea Południowa, Niemcy – osiągają najwyższy poziom innowacyjności, produktywności i dochodu na mieszkańca

(według Global Innovation Index 2024–2025). Dla przykładu: dekady badań w statystyce, neuronowych sieciach i uczeniu maszynowym finansowane z publicznej kasy zaowocowały modelem sztucznej inteligencji. Badania podstawowe to jedna z najlepiej oprocentowanych inwestycji publicznych, tylko z długim horyzontem czasowym i wysokim ryzykiem pojedynczego projektu, choć bardzo niskim ryzykiem całego portfela. Państwo, które olewa takie inwestycje, będzie importować technologie, płacić licencje i tracić ludzki potencjał. Zostanie montownią dla zagranicznych firm. Skąd więc ten ośli upór w przycinaniu dotacji? Wartość tych inwestycji (stopa zwrotu 50–200 proc.) ujawnia się w perspektywie 10–30 lat, a nie w ciągu jednej kadencji.

Wzrost nakładów na NCN to jedna z głównych rekomendacji dla Polski w 11. edycji EU Regular Report Banku Światowego (Innovation Rising 2026). Autorzy raportu podkreślają, że badania podstawowe finansowane ze źródeł publicznych stanowią warunek konieczny skutecznego transferu technologii i komercjalizacji wyników. Bez ich wzmocnienia granty dla firm, ulgi podatkowe na badania i rozwój czy programy wsparcia dla start-upów nie przynoszą oczekiwanych efektów. Ciekawe, czy Victor Ambros wytłumaczy to Tuskowi.

IDALIA DUBICKA

szało już ponad 250 partyjnych mafiosów PiS i koalicyjnej sitwy. Ilu z nich siedzi? Żaden!

Co gorsza, przy takiej skali nadużyć wiele z nich ginie w mrokach niepamięci. Czasem media przypomną nam o węgierskich uchodźcach – np. przy okazji decyzji marszałka Czarzastego o odebraniu Ziobrze uposażenia. Kto jednak pamięta o naprawdę potężnym przekręcie z kwietnia 2020 r., kiedy to Ministerstwo Zdrowia, pod kierownictwem Łukasza Szumowskiego i jego zastępcy Janusza Cieszyńskiego, zakupiło 1241 respiratorów od handlarza bronią? Rząd natychmiast po zawarciu umowy wartej 200 mln zł wypłacił Andrzejowi Izdebskiemu 154 mln zł zaliczki, ten się z umowy nie wywiązał i – ponoć – umarł. Tak brzmi wersja oficjalna. Szumowski i Cieszyński mają się świetnie. Prokuratura Okręgowa w Warszawie umorzyła śledztwo i odmówiła wszczęcia kolejnego, mimo doniesień NIK – co więcej, odmówiła też podania uzasadnienia tej decyzji.

Dariusz Joński orzekł ostatnio w TOK FM, że czas na wyroki sądowe przychodzi teraz. I na wszelki wypadek

europoseł szybko dodał, że wymiar sprawiedliwości to nie piekarnia. To jednak, panie Joński, nie jest też wędzarnia, w której w zimnym dymie konserwuje się wędliny na kolejne święta.

Eurodeputowany Joński spodziewa się w przyszłości 250 aktów łaski prezydenta Nawrockiego. Może mieć rację – ale nie zwalnia to wymiaru sprawiedliwości od obowiązku osądzenia winnych.

W polskich realiach zbyt wiele osób wie, że kontakt z prokuraturą nie musi mieć nic wspólnego ze sprawiedliwością. Postępowania toczą się latami, podejrzani żyją w często w poczuciu bezkarności i świadomości, że matka partia krzywdy im nie da zrobić, a prezydent Nawrocki całą czeredę przytuli do piersi, podobnie jak kiedyś Duda Kamińskiego i Wąsika. Wiele śledztw jest celowo przeciąganych lub umarzanych bez wyjaśnienia. To nie jest zatem państwo prawa. To państwo niekompetencji, upartyjnienia i braku odpowiedzialności. To państwo nie daje ludziom ani poczucia bezpieczeństwa – ani nawet satysfakcji moralnej.

W tym miejscu jakoś przyszedł mi do głowy jeden geszeft, który pisowcom nie wyszedł. Wiceminister sprawiedliwości Patryk Jaki chciał wybudować w Brzegu na Opolszczyźnie nowoczesny – ba, ekskluzywny – zakład karny za pół miliarda złotych. Trudno ocenić, czy Opolanie nie życzyli sobie natłoku recydywy, czy raczej sąsiedztwa skazanych polityków, projekt ten jednak w powijakach uwalili. Dlatego nie dowiemy się, czy ten sztandarowy projekt Jakiego miał służyć za wygodne gniazdko na stare lata dla niego i jego kamratów.

TADEUSZ GAWLIK
gawlik.tadeusz@o2.pl

MÓŻDŻEK TYGODNIA



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Wiceprezeska Prawa i Sprawiedliwości Anna Krupka założyła koszulinę z cieniutkiego lnu, a na nią kieckę z własnoręcznie splecionej wełny. Następnie adamaszkowy gorset z kościanymi guzami i prążkowany fartuch.

– Ej! – zawołała radośnie, obracając się wokół własnej osi. Wełnianka zawirowała jak papierowy wiatrak.

Krupka pochyliła się, żeby włożyć białe pończochy, a potem czerwone trzewiki z cholewkami, zawiązywane karminowymi tasiemkami. Jeszcze tylko bursztynowe korale, biała chustka i haftowany czepiec. Podparta pod boki zaintonowała: – Czerwone jabłuszko, przekrojone na krzyż…

I zapiszczała jak jakaś młódka, chociaż miała już swoje lata.

• • •

Zwany premierem poseł Przemysław Czarnek nie był dziś ubrany na ludowo, lecz miał nadzwyczaj ludowy nastrój. Dlatego przychylnie spojrzał na wiceprzewodniczącą Krupkę, zanim podał jej ramię, a gdy muzykanci rozpoczęli kujawiaka, porwał ją na podium z desek.

Zatańczyli oboje i kujawiaka, i mazura, i oberka. Na koniec otarli pot z czoła, by udać się do zaciemnionej izby i tam się wyciszyć.

Wyszli po kwadransie. Krupka poprawiła czepiec, spod którego wymknęły się frywolnie kosmyki jasnych włosów, i uroczyście ogłosiła: – Przemek jest człowiekiem do tańca i do różańca.

PRZEMYSŁAW ĆWIKLIŃSKI

eprasa.pl 5802c0ae32

Student żebrak

Wtedy kształcono zbuntowanych inteligentów, teraz pokornych pracowników

Mieszkał w Zbąszyniu, miał brata i siostrę. Kiedy kończył Technikum Mechaniczne w Świebodzinie, postanowił iść na studia, choć w domu nie przelewało się. Wspomina: „Zawziąłem się. Stwierdziłem, że jeśli się dostanę na uczelnię, to z pewnością grosza z domu nie wezmę”.

Jesienią 1978 r. student Eugeniusz Kurzawa mógł zapisać w pamiętniku:„Dałem radę”.

Nie tylko dlatego, że *socjalistyczna ojczyzna* wypłacała ówczesnym studentom stypendia socjalne, zwane *stypami*, obficie i regularnie. Warunkiem było uczestnictwo w zajęciach na uczelniach i osiąganie statystycznie średnich ocen. Co na większości, zwłaszcza humanistycznych, było nietrudne. Jednocześnie ówczesny, „słusznie miniony reżim”, jak często słyszymy dziś w polskich mediach, oferował studentom dodatkowy system zachęt do nauki. Realnie wypłacane pieniądze.

Dziś Eugeniusz Kurzawa odtwarza stan tamtej studenckiej kieszeni.

„Zdaje się, że po roku, dwóch nauki – dzięki średniej w indeksie – przysługiwało mi aż 1250 zł miesięcznie! W 1978 roku podsumowałem »urobek« na starcie nowego roku akademickiego – nawet teraz jestem zdumiony. Wyliczam w słupku: stypa normalna (1250 zł), stypa podwyższona (1800 zł), nagroda rektorska (1000 zł) i nagroda za średnią (1500 zł). Razem około 5,5 tys. zł, grubo ponad ówczesną średnią krajową, a z pewnością nie było porównania z pensją ojca oscylującą, zdaje się, ponad 2000–2200 zł”. Ojciec był krawcem w zakładach odzieżowych „Romeo” w Zbąszyniu.



Rys. RYSZARD DĄBROWSKI

...ale pan

Oczywiście Gienek Kurzawa nie był przeciętnym człowiekiem i studentem. Studiował na Wyższej Szkole Pedagogicznej. Najpierw dwa lata na *wychowaniu technicznym*, potem przeniósł się na pedagogikę pracy kulturalno-oświatowej. Studiując w Zielonej Górze, od razu zaczął pisać do „Gazety Lubuskiej” – tam były „Studenckie Szpalty” o studenckim życiu kulturalnym i problemach bytowych.

Swoje łamy udostępniał studentom też ówczesny dwutygodnik społeczno-kulturalny „Nadodrze”. Przygotowywali dodatek pod tytułem „Młoda Myśl”. Tam pisał Genio publicystykę, drukował swe wiersze, bo młodym „dobrze zapowiadającym się poetą” też był.

Dziś Eugeniusz Kurzawa, już uznany nietuzinkowy dziennikarz i poeta, wraca do lat swych studiów w książkowym wydaniu wspomnień pod tytułem „Plac Słowiański 12”. Odtwarza ówczesne życie studenckie z wielką starannością o sylwetki ludzkie, fakty i zapominane szczegóły.

Choćby koszty utrzymania. Dzisiejszym studentom trudno uwierzyć, że wtedy pełna miesięczna opłata za akademik wynosiła 120 zł. Przy standardowym socjalnym stypendium około tysiąca złotych miesięcznie.

Oczywiście luksusów w tamtych akademikach nie było. W pokoju powierzchni około 10–15 metrów kwadratowych gnieździła się trójka, czwórka studentów. Często jeszcze nocował walet, czyli były lub przyszły student, który nie miał prawa do akademika. Nie płacił za waletowanie. Ale honor nakazywał mu raz w tygodniu przynosić wałówkę otrzymaną z domu, flaszkę wódki albo cztery wina.

Mieszkańcy pokoju mieli własne łóżka. Reszta, czyli stół, dwa krzesła, regał, szafa, wieszak, głośnik radiowęzła i umywalka były wspólne. Ubikacje, prysznice i kuchenki gazowe były na końcu korytarzy. W każdym akademiku był klub studencki, w większych studio radia robionego przez studentów.

Gienek Kurzawa mieszkał na Placu Słowiańskim w poniemieckim gmachu. Duże administracyjne pomieszczenia podzielono płytami pilśniowymi na pokoje dla studentów. Dzięki temu łatwo było usłyszeć, jak się mieszkańcom żyje. Nic dziwnego, że akademik ochrzczono Tekturowcem.

Browar albo tomik wierszy

Życie studencie było wtedy biedne, lecz godne i twórcze. Nie wypadało obnosić się z pieniędzmi. Piwo w sklepie kosztowało, jak wspominam, mniej niż dychę. W knajpach było znacznie droższe, ale tam studenci bywali rzadko. Sklepowe wino krajowej marki Okęcie (ech, nie masz przyjęcia bez Okęcia) kosztowało dwie dychy, bułgarskie już cztery, a tunezyjskie nawet dziewięć dyszek. Flaszka wódki jakieś sześć dych. Tabliczka czekolady to dwie dychy, a wypasiona wedlowska z orzechami prawie trzy.

Za to tomik wierszy kosztował, jak wspomina Kurzawa, jedynie dychę.

Pamiętam, że bony na jedzenie w stołówkach studenckich, pięć dni w tygodniu, kosztowały na miesiąc około 250–400 zł. Wykwintnie tam nie było, za to otyłością na pewno tamto jedzenie nie groziło.

Za konferansjerkę na imprezie w klubie studenckim dostawałem 150 zł na rękę. Tyle samo brał Jacek Kaczmarski za śpiewanie, zanim zdał egzamin na artystę estradowego. Za publikacje w prasie studenckiej płacili zwykle 200 zł. Nie wymagali dyplomu ukończenia studiów. Więcej wyceniali, kiedy artykuł był dłuższy i lepszy jakością.

Finansowymi krezusami byli bossowie Studenckich Spółdzielni Pracy. Brali szczególne zlecenia, jak konserwacje fabrycznych kominów, nocne wieszanie flag przed porannymi wizytami głów ówczesnych mocarstw, sprzątanie biur. Pracę wykonywało kilka osób, a olbrzymie zapłaty bossowie rozpisywali na kilkanaście słupów. I choć słup dostawał tylko 10 proc. wartości pracy, której nie wykonał, to nieraz kilkaset złotych w tygodniu wpadało.

W czasie studiów Gienio Kurzawa miał czas na studiowanie premiowane nagrodami rektorskimi, a także na pisanie artykułów, wierszy, publicystyki do prasy, tworzenie uczelnianych gazetek studenckich, założenie uczelnianego klubu studenckiego, organizowanie koncertów, spektakli zapraszanych teatrów, pokazów filmów, dyskusji, biesiad literackich, konkursów, turniejów, klubów turystycznych oraz klubów poetyckich rzecz jasna.

Pierwszy raz widziałem poetę Kurzawę podczas festiwalu FAKT w Bolesławcu. Czytałem go potem w tygodniku „itd”, czasem się w naszej warszawskiej redakcji pojawiał. Uczestniczył w warsztatach dla dziennikarzy studenckich „Soczewka” organizowanych przez „itd”. W książce zamieścił swoje zdjęcie z jeszcze młodym wtedy Urbanem i jeszcze młodszą Gośką Daniszewską, kiedy żarliwie dyskutowali. Bo Gienio też ciągle dyskutował, ciągle gdzieś był obecny. Jak wielu z jego i mojego studenckiego pokolenia.

Szczur wydymany

Czytam niedawno współczesną gazetę studencką. „Alarm studencki” nr 3/2025. Z wielkim tytułem „Studencki wyzysk”. We wstępniaku redakcja pisze: „W trzymanym przez Was w ręku numerze poruszamy temat wyzysku: śmieciówki, darmowe praktyki, niewidzialna praca badawcza oraz upłciowiona eksploatacja. Poza tym przeczytacie o transformacji sylwetki studentki w pracownice oraz absurdach stypendiów socjalnych. Przygotowaliśmy Wam też prawniczy przewodnik po stażach, którym dzielenie się serdecznie zachęcamy. Obalamy też znane nam wszystkim mity o studentach. Najlepszą bronią przeciwko brakowi czasu i bezsilności jest organizacja i solidarność. Stańmy wspólnie do walki o nasze życie wolne od mechanizmów wyzysku”.

Czytam gazetę zupełnie inną niż znane mi w młodości. Nie ma w niej wierszy i przejawów kultury tworzonej przez studentów w studenckich klubach. Jest za to walka o były klub studentów UW zamieniony w komercyjną knajpę. Nie ma relacji z wydarzeń kulturalnych w akademikach. Jest relacja o studenckich protestach przeciwko likwidacji akademika Jowita przez władze Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Nie ma debaty o studenckim teatrze. Bo na to wiecznie zapracowani studenci nie mają czasu. Są porady, jak nie dać się wyzyskać przez menadżerów knajp zatrudniających tam studentów.

Czytam, że życie studenckie, „które jeszcze dekadę wcześniej kojarzyło się z klubami, dyskusjami i zaangażowaniem w ruchy społeczne, stopniowo straciło buntowniczy charakter. Nie robi się czegoś »dla samego robienia«, bo już w wielu 20 lat trzeba wykuwać cechy przyszłego pracownika, najlepiej jednoosobowego przedsiębiorcy”. Symbolem totalnej ekonomizacji życia studenckiego, studenckiego wyścigu szczurów są pieniężne opłaty pobierane od waletów przez ich legalnych współspaczy z pokojów w akademikach.

Koniec świata inteligentów

W Polsce Ludowej studenci żyli biednie, ale kulturalnie. Bo wtedy uczelnie wyższe kształciły inteligentów.

Ludzi pracy umysłowej, którzy mieli potem nieść także oświatę, kulturę, cywilizację polskiemu ludowi wsi i miast. Zwano to „żeromszczyzną”. Aktor Zbyszek Cybulski powtarzał, że czuje się „odpowiedzialny za Rzeszowskie i Kieleckie”, czyli za polską prowincję.

Genio Kurzawa oraz wiele jego koleżanek i kolegów sprawiali, że Zielona Góra nie był kulturalną pustką, kulturalną prowincją.

W Polsce Ludowej studenci musieli i chcieli organizować sobie festiwale filmowe, teatralne, napisać wiersze, by obcować z kulturą. Zakładali kluby turystyczne, by móc wyjechać za granicę.

W III RP wszystko to mogą sobie studenci, jak wszyscy inni, zwyczajnie kupić. Są od tego komercyjne, profesjonalne firmy. Wystarczy tylko zapłacić za bilet wstępu.

Nastał nam „słuszny” kapitalizm. Ten nie potrzebuje już inteligentów, tylko sprawnych pracowników. Młodych studiujących szybko. Od razu wyspecjalizowanych zawodowo. Nastawionych na indywidualną karierę i sukces finansowy.

Dlatego czasy kultury studenckiej, studenckich klubów i studenckich wspólnot to czas dokonany, przeszły. Zapisany jedynie we wspomnieniach.

PIOTR GADZINOWSKI

Eugeniusz Kurzawa „Plac Słowiański 12”, Wydawnictwo WiMBP w Zielonej Górze.

Uwaga, czynszojady atakują

SŁOWO CZERWONE

Czy kamienicznik nie może być człowiekiem?

Ostatnio zgłosiło się do nas kilkanaście osób, które bezprawnie pozbawiono dachu nad głową. Wychodzili z psem, do lekarza, na spacer, a po powrocie nie mogli się już dostać do mieszkania, bo zamki były wymienione. Mogli wprawdzie zgodnie z prawem przywrócić sobie niezwłocznie posiadanie poprzez zmianę zamków – ale tylko, jeżeli nikt nie stanął temu na przeszkodzie, bo przepis mówi, że nie wolno przy tym stosować przemocy wobec osób. Ostatnio przy trzeciej wymianie zamków wezwana na miejsce policjantka poradziła lokatorce, żeby kupiła sobie gaz.

Policja jest zwykle w takich sytuacjach bezradna. Bezprawne naruszenie posiadania przez właściciela, który chce się pozbyć lokatora, a nie chce mu się robić tego zgodnie z prawem – czyli przez wniesienie pozwu o eksmisję do sądu – może być odparte poprzez kolejną zmianę zamków niezwłocznie. Albo poprzez wniesienie do sądu pozwu o przywrócenie posiadania i zaniechanie dalszych naruszeń. Kiedy jednak bandyci (naruszyciele) znajdą się w mieszkaniu, policja nie ma trybu, przepisu, który pozwoliłby ich usunąć.

To o tyle dziwne, że przecież posiadanie jest w polskim prawie chronione na równi z własnością. Wejście bez zgody najemcy do wynajętego mieszkania jest naruszeniem prawa, ale w prawie nie ma sankcji za takie zachowanie. Jednocześnie po wyczynach czyścicieli kamienic podczas afery reprywatyzacyjnej wprowadzono przepisy karne za „utrudnianie zamieszkiwania”. Za utrudnianie można dostać do trzech lat pozbawienia wolności.

Takim utrudnieniem jest np. wyłączenie prądu czy wody. Za podobne zachowanie należy uznać często praktykowane przez wyspecjalizowane w tym firmy wprowadzanie do mieszkania „nowych lokatorów”. Są to zwykle kolesie grający w karty, pijący alkohol, palący mnóstwo papierosów i bardzo hałaśliwi. Czyścicielom chodzi o to, żeby lokatorom obrzydzić życie i zmusić ich do opuszczenia wynajętego przez siebie lokalu. Takie postępowanie jest teoretycznie karalne. Ale przepisów tych się prawie nie stosuje.

Tę powszechną praktykę łamania praw lokatorskich zamierza usankcjonować Konfederacja, wnosząc odpowiednią nowelizację. Firmy zajmujące się zastraszaniem lokatorów szerzą dezinformację przekonując, że eksmisja drogą legalną, przez sąd, wyrok i komornika, trwa latami. To kłamstwo. Kancelaria Sprawiedliwości Społecznej stojąca zwykle po stronie eksmitowanych wie to najlepiej, bo postępowanie sądowe i egzekucyjne trwa zwykle mniej niż rok.

Lokator zaczyna zalegać z czynszem, kiedy spadają jego dochody. Np. jego pracodawca plajtuje i zwalnia, lokator zapada na poważną chorobę, przestaje pracować i jeszcze musi zdobywać środki na leczenie itp. Ta gorsza sytuacja finansowa eksmitowanego powoduje, że nabywa on uprawnienia do lokalu socjalnego. Ale to nie jest okoliczność, która pogarsza sytuację właściciela mieszkania. Zwykle jeżeli gmina zwleka z dostarczeniem lokalu socjalnego, jest zobowiązana do wypłacania właścicielowi równowartości wolnorynkowego czynszu.

Właściciele zwykle narzekają, że muszą utrzymywać lokatora i jego rodzinę. Po pierwsze, znam mnóstwo wypadków, kiedy to lokatorzy przez wiele lat płacą za wynajem bajońskie sumy, np. równowartość miesięcznej pensji. W ten sposób pomnażają majątek wynajmującego właściciela. Przerwa w płaceniu czynszu to dług, który lokator i tak będzie musiał spłacić. Więc nie ma mowy o utrzymywaniu – zakupów mu przecież nie robi – tylko o długu.

eprasa.pl 5802c0ae32

Sława, szambo i mój syn

Wyznanie zrozpaczonego ojca

Zacznijmy od rzeczy zasadniczej: zostaliście oszukani. W sposób elegancki, niemal salonowy. Ktoś – gdzieś w gabinetach władzy, między jedną ustawą a drugim cateringiem – wymyślił bowiem, że trzeba was koniecznie chronić. Przed czym? Oczywiście przed waszą własną rozpoznawalnością. Tak powstała cała ta majestatyczna konstrukcja: ustawy o ochronie danych osobowych, regulacje o prywatności, formularze zgód, klauzule informacyjne i inne papierowe fortyfikacje mające bronić waszej godności.

I oto żyjecie dziś w błogim przekonaniu, że anonimowość jest cnotą. Prywatność – świętością. A najlepiej w ogóle być nikim, niczym i nigdzie nie figurować. Człowiek idealny to taki, który nie pojawia się w żadnej gazecie i którego nazwiska nie potrafi poprawnie wymówić nawet własny listonosz. Ba! Staliście się nawet gorliwymi wyznawcami tej dziwacznej doktryny.

Jak dokonano tego niezwykłego oszustwa? Otóż ludzie, którzy je wymyślili, z natury rzeczy nie przepadają za konkurencją. Wpadli na pomysł genialny: wmówić wszystkim pozostałym, że anonimowość jest czymś wzniosłym, moralnym i godnym podziwu. W ten sposób własną sławę, wpływ i rozpoznawalność – mogli przedstawić jako ciężar, który z wielkim poświęceniem dźwigają dla dobra społeczeństwa. Wy zaś, wzruszeni tą opowieścią, posłusznie wycofaliście się w cień.

Prawda jest inna. Sława jest kapitałem. Rozpoznawalność jest formą władzy. Nazwisko, które coś znaczy, działa w życiu społecznym podobnie jak pieniądz w gospodarce. A im bardziej się od tej rozpoznawalności oddalacie, tym bardziej kurczy się wasze znaczenie. Człowiek anonimowy może mieć rację, talent, a nawet genialne pomysły – ale dopóki pozostaje nikim, jego racja, talent i pomysły są jak złoto zakopane w ogródku: istnieją, lecz nie uczestniczą w obiegu.

Próchna w eterze

To w zasadzie jest najważniejsze. Dalej już czytać nie musicie, bo będzie już tylko o cieniach tej sławy, o jej kwaśnych posmakach, goryczach oraz o osobliwych przemianach popularności, jakie dokonały się w ostatnich dziesięcioleciach.

Zatem opłaca się być sławnym – a jeszcze bardziej opłaca się być sławnym i bogatym jednocześnie. Problem obecnie polega na tym, że jeśli ktoś zaplanował sobie drogę do sławy jako pisarz (co gorsza poeta, albo – nie daj Boże – dziennikarz), wynalazca, malarz, pianista czy filozof, to w naszych czasach musi przeżyć pewne rozczarowanie. Czasy sprzyjające takim profesjom minęły.

Nawet gwiazdy rocka przestały się rodzić. Owszem, świat muzyczny wciąż produkuje jakieś dźwięki, ale prawdziwe gwiazdy siedzą dziś wygodnie na YouTubie i pobierają dywidendę od popularności sprzed 20 albo 30 lat. Młody człowiek może dziś nagrać płytę, koncertować, lecz w pewnym momencie odkryje, że algorytm świata należy do starych. Wystarczy włączyć radio: znów Kora Jackowska, znów Queen lub coś z epoki, kiedy gitarę elektryczną traktowano jak Świętego Graala.

Zapisz bachora do młodzieżówki

Obecnie prawdziwy monopol na sławę przywłaszczyli sobie politycy. To oni zajmują pierwsze miejsca w rankingach rozpoznawalności. Codziennie przemawiają, objaśniają rzeczywistość i występują w telewizji. Jak to się stało, że umysłów społeczeństwa nie zaprzątają już wykłady prof. Miodka o subtelnościach języka polskiego ani audycje Adama Słodowego, w których można było dowiedzieć się, jak z puszki po konserwie, kawałka drutu i silniczka od magnetofonu zbudować łódeczkę elektryczną? Odpowiedź jest nieco przygnębiająca: współczesny świat działa w tempie, którego kultura spokojna i wymagająca zwyczajnie nie wytrzymuje.

Nowy album muzyczny pojawia się raz na kilka lat. Dobra powieść powstaje trzy lata, czasem pięć, a bywa, że i 10. No chyba że pisze ją Remigiusz Mróz – literacki karabin maszynowy, który produkuje literaturę z prędkością światła, osiągając objętość pustyni i podobną do piasku sypkość merytoryczną.

Aby wymyślić lek na brak potencji, naukowiec musi harować całe życie, studiować enzymy, prowadzić eksperymenty i publikować artykuły, które przeczyta pięciu kolegów z laboratorium i jedna zaniepokojona redakcja pisma medycznego.

Natomiast media działające przez 24 godziny nie mają czasu na takie ceregiele. Potrzebują paliwa natychmiastowego, codziennego i najlepiej wybuchowego. Jedyną dziedziną życia publicznego, która potrafi produkować dramat z częstotliwością przemysłową, jest polityka. Wczoraj kłótnia w komisji, dziś konferencja z oburzeniem, jutro tweet z pogardą, pojutrze poprawka do ustawy, która wywoła awanturę trzech partii i czterech redakcji.

Gdy pensja posła wraz z dodatkami urosła do rozmiarów wypłaty średniej wielkości przedsiębiorcy, a prezydent, dajmy na to Lublina zarabia już niemal jak prezes Coca-Coli na Europę Środkową – należałoby w zasadzie zachęcać was do kariery politycznej. A przynajmniej do tego, byście na tę drogę kierowali swoje dzieci. W końcu skoro jedni wysyłają potomstwo do szkół muzycznych, inni na kursy programowania, to czemu by nie zapisać ich od razu do młodzieżówki partyjnej?



Rys. RYSZARD DĄBROWSKI

Miliony psu w dupę

Byłbym jednak człowiekiem nieuczciwym, gdybym w tym miejscu zataił pewną drobną okoliczność, a mianowicie mroczną stronę całej tej kariery. Prawda bowiem wygląda tak, że życie polityka składa się z kilku powtarzalnych etapów, które w podręczniku do psychologii władzy mogłyby być opisane niemal jak cykl rozwojowy owada.

Pierwszy etap to walka o władzę. Brutalna, wyczerpująca i – co statystycznie najważniejsze – w większości przypadków jednak przegrywana. Kandydat rusza w Polskę, ściska ręce, których w normalnych okolicznościach nigdy by nie dotknął, pije herbatę w remizach, je ciasto o nieznanym składzie i z powagą wysłuchuje historii o studni w gminie, która od 1973 r. przecieka, oraz o psie, który zaginął w 1998 i – zdaniem miejscowej społeczności – do dziś nie został przez państwo polskie należycie odnaleziony. A w zamian za te wszystkie wysiłki otrzymuje zwykle kilka tysięcy głosów za mało. To są prawdziwe dramaty.

Weźmy choćby przykład Rafała Trzaskowskiego. Człowiek, który był dwa razy bardzo blisko prezydentury. Tak blisko, że przez jakieś 30 minut miał wrażenie, że to już. Wspomnę też o tym szczególe finansowym: cała ta przygoda kosztowała około 25 mln zł, które – mówiąc językiem klasycznej ekonomii – przepadły jak psu w dupę.

Albo spójrzmy na Mateusza Morawieckiego. Jeszcze niedawno pławił się w reflektorach premierostwa, przemawiał i przyjmował delegacje. Sformował dwa rządy; co prawda drugi utrzymał się przez dwa tygodnie, ale jednak. Od tamtej pory nagrywa setki rolek na YouTubie, w których mówi tonem człowieka, który już za chwilę wróci na fotel premiera, a tu nagle – zonk!

Ojciec założyciel postanawia, że premierem zostanie ktoś zupełnie inny. Historia zna wiele takich momentów, kiedy marzenia jednego człowieka rozbijają się o jedno zdanie wypowiedziane przez drugiego.

Nie ukrywam, że Morawieckiego nie znoszę. Ale zachowując nabożny szacunek do wszystkich żyjących istot i zdobywając się na odrobinę empatii, muszę przyznać jedno: będąc w jego butach, czułbym się naprawdę nieznośnie.

Albo Bronisław Komorowski – idealna postać tragikomiczna. Urzędujący prezydent, ogromna przewaga w sondażach, wszyscy eksperci mówią: „wybory są formalnością". A potem pojawia się Andrzej Duda, i nagle bum. Człowiek był absolutnie pewny zwycięstwa i… przegrał.

Koryto i kraty

Drugi etap politycznego żywota to sprawowanie rządów. Niewdzięczne i pełne wrogów. Okazuje się, że wszyscy, którzy wcześniej chcieli pomóc, nagle chcą stanowisk, dotacji albo przynajmniej parkingu pod urzędem. Media odkrywają z kolei, że każdy podpisany dokument jest potencjalnym skandalem. Ten etap bywa niebezpieczny: w zależności od epoki może on kończyć się komisją śledczą, emigracją albo więzieniem.

Najtrudniejszy jest jednak etap trzeci, czyli realna utrata władzy. Telefon nagle przestaje dzwonić. Dawni przyjaciele odkrywają pilne obowiązki rodzinne, a ochrona uprzejmie informuje, że karta wjazdowa do budynku już nie działa. Psychologicznie jest to doświadczenie znacznie trudniejsze niż sama walka o władzę czy jej sprawowanie. Bo w pierwszym przypadku jeszcze się marzy, w drugim – jeszcze się rządzi. Teraz człowiek odkrywa, że świat polityki ma okrutną właściwość: potrafi zapominać o swoich bohaterach z prędkością, z jaką znika darmowa wódka na partyjnym raucie.

Tak to mniej więcej wygląda. Ale prawdę mówiąc, ja tam tych panów specjalnie nie żałuję. Już sam fakt, że komuś przychodzi do głowy, iż jest lepszy od innych i nadaje się na nadzorcę, kierownika albo wręcz kapo dla milionów współobywateli, powinien go raczej dyskwalifikować jako polityka. Logika podpowiadałaby przecież coś odwrotnego: im więcej pokory, tym większe prawo do rządzenia. W polityce działa zasada dokładnie przeciwna.

Rodzinny dramat

Dlaczego jednak piszę właśnie teraz? Powód jest poważny i – nie ukrywam – bardzo osobisty. Kieruję się zwyczajną ojcowską troską, więc wybaczcie mi tę odrobinę prywaty. Otóż mój syn… wstąpił do partii.

Wyobrażacie sobie państwo, co musi czuć człowiek bezpartyjny, gdy dowiaduje się, że jego własne dziecko dobrowolnie zapisało się do organizacji politycznej? To trochę tak, jakby wychowany w rodzinie wegetariańskiej potomek nagle oznajmił przy niedzielnym obiedzie, że otwiera hurtownię kiełbasy.

Owszem, jest to partia w miarę przyzwoita. Nie taka najgorsza, powiedziałbym nawet – w dzisiejszych warunkach niemal elegancka. Ale mimo wszystko wolałbym, żeby został lekarzem. Niestety z medycyny go wyrzucili, podobno za jakieś nieporozumienie z anatomią. Teraz chodzę po domu, patrzę w sufit i zastanawiam się, gdzie popełniłem błąd wychowawczy. Czy za mało czytaliśmy razem książek? Czy za dużo oglądał wiadomości? A może w dzieciństwie pozwoliłem mu zbyt często wygrywać w planszówki i uwierzył, że naprawdę nadaje się do rządzenia ludźmi?

Synku. Mikołaju Aleksandrze. Nie będę Ci mówił, co masz robić. Ojciec nie powinien sterować życiem dorosłego człowieka. Powiem tylko tyle: czy na pewno dążysz we właściwym kierunku?

Z całym ojcowskim doświadczeniem, smutnym przeglądem historii politycznych karier, powiedziałem już powyżej wszystko, co można by potraktować jako szczerą i serdeczną radę. Reszta należy do Ciebie.

ROBERT JARUGA

Długi czynszowe są przedstawiane tak, jak gdyby były czymś gorszym niż wszystkie inne długi. Kiedy pracodawca zalega z wypłatą pensji, nikt nie krzyczy, że pracownicy go utrzymują, że jest patologią i w sumie złodziejem.

Zdarza się i tak, że zaległości czynszowe wynikają z zalegania z wypłatą wynagrodzeń ciężko pracującym matkom i ojcom rodzin. Gdybym wynajął firmę, która wzorem takiego Exmitera groźbą i nękaniem wymusza od pracodawcy należne wynagrodzenie – natychmiast zostałbym schwytany i wtrącony do lochu. Ale klienci, którzy w ten sposób „radzą sobie" z zalegającymi z czynszem lokatorami, jakoś nie są za to karani, mimo że to nielegalne.

Problem jest tym bardziej palący, że czynsze na wolnym rynku są niewspółmiernie wyższe niż zarobki. Polacy wynajmujący mieszkania na rynku chodzą po cienkim lodzie, bo większość z nas nie ma poduszki finansowej. W takich rynkowych umowach jest wymóg wskazania miejsca, gdzie w razie czego lokatorzy mogą się wyprowadzić. Ale gdyby mieli takie miejsce, to nie wydawaliby całej pensji na czynsz. Większość ludzi omija ten przepis, kupując fikcyjne adresy na specjalnych giełdach.

Ludzie, którzy decydują się wydawać większość pieniędzy z budżetu domowego na wynajem, robią to, bo chcą mieć rodzinę, a nie do późnej starości mieszkać z rodzicami. Potknięcie z czynszem zwykle wynika nie ze złej woli, tylko z obiektywnych kłopotów finansowych. Gdyby właściciele nie sięgali po nasyłanie osiłków i zastraszanie, tylko po środki legalne, to rodziny otrzymywałyby pomoc mieszkaniową w postaci lokali socjalnych. Jednak tak łatwo jest sięgnąć po przemoc, że coraz więcej właścicieli opłaca oprychów, żeby lokatorów wyrzucić. Te rodziny stają się bezdomne.

A wychodzenie z bezdomności to długa i ciężka droga. Zaczyna się od rozdzielania rodzin. Bo ośrodki dla bezdomnych nie mają żadnej oferty dla rodzin normalnych, gdzie nie występują uzależnienia czy przemoc.



Ilustr. PAWEŁ FERENC

Ojca od matki z dziećmi się więc oddziela. Pobyt w przytułku wiąże się z regulaminem, który przypomina więzienie.

Jednym ze sposobów radzenia sobie jest zajmowanie pustostanów. Chociaż oznacza to ryzyko procesu o włamanie. Kiedy jednak rodzina, która zajęła pustostan miejski, składa się z nieletnich dzieci, sądy przyznają im zwykle prawo do lokalu socjalnego.

Jak daleko można się posunąć, by usunąć niechcianego lokatora? Na Pradze Północ właścicielka, posiadająca w budynku kilka mieszkań, tak bardzo się śpieszy, żeby usunąć mieszkającą tam rodzinę, że wyłączyła prąd. W ten sposób naraziła życie lokatorki chorującej na stwardnienie rozsiane boczne: uniemożliwiła jej korzystanie z tlenoterapii. Ta rodzina wynajmowała mieszkanie od tej pani przez 10 lat. Płacili sumiennie za niewielki jednoizbowy lokal niemal 4 tys. zł, czym znacząco zwiększyli majątek właścicielki. Na nic się zdały prośby o litość.

PIOTR IKONOWICZ

eprasa.pl 5802c0ae32

Amerykańska pajdokracja

Cieśnina Ormuz kontra świat

Cała ta irańska tragedia pokazuje tylko to, co już wszyscy wiemy: że światem rządzą gówniarze. Że najpotężniejsze państwo świata, jego armia i zależne od niego losy światowej ekonomii są w rękach zadziornej smarkaterii, która rozumie tyle, ile widzi znad obrębu swojej piaskownicy.

Krytykowanie Donalda Trumpa jest dziś zajęciem głęboko jałowym. A do tego przypomina – jak mawiają Amerykanie – „strzelanie do ryb w beczce"; inaczej mówiąc, nie jest wyzwaniem. A jednak wojna w Iranie wymaga omówienia.

Daruję sobie, jeśli pozwolicie, oburzanie się na zbrodnie wojenne, które są wszak stałym elementem amerykańskiej polityki zagranicznej. USA są państwem bandyckim nieustająco, co najmniej od bomb atomowych zrzuconych na Hiroszimę i Nagasaki przez Harry'ego Trumana – i wszyscy jego następcy byli zbrodniarzami wojennymi (niektórzy historycy usiłują wyłączyć z tego grona nietypowo przyzwoitego faceta, jakim był hodowca fistaszków Jimmy Carter, ale i to jest dyskusyjne, wziąwszy od uwagę jego wsparcie dla indonezyjskich zbrodni w Timorze Wschodnim).

Tak czy inaczej – odkładając na bok „moralność amerykańskiej polityki" (co brzmi jak drwiący oksymoron) – warto spojrzeć na jej praktyczne skutki tu i teraz.

Na tej wojnie wszyscy już dziś bierzemy w dupę, płacąc coraz więcej za paliwo i gaz, co było jasne od początku. Zamknięcie cieśniny Ormuz – przez którą przechodzi transport 20 proc. światowej ropy i 30 proc. gazu skroplonego – było oczywistą irańską odpowiedzią na amerykańsko-izraelską napaść. I Przywódca Wolnego Świata doskonale o tym wiedział, co jego sekretarz wojny przyznał, albowiem ten debil z mózgiem przeżartym przez alkohol nie kontroluje tego, co mówi, nawet bardziej niż jego szef.

Ale po kolei.

13 marca „Wall Street Journal" opublikował artykuł pod bynajmniej nie klikbaitowym tytułem (klikbait polega na tym, że tytuł intryguje pytaniem, na które odpowiedź jest zakopana głęboko w tekście): „Trump znał ryzyko zablokowania cieśniny Ormuz przez Iran. Mimo to zdecydował się na wojnę".

Znał to ryzyko – dodajmy – nie z „fake mediów", tylko od własnego przewodniczącego Kolegium Połączonych Szefów Sztabów Sił Zbrojnych USA gen. Dana Caine'a, który kilkukrotnie na różnych naradach informował prezydenta, że to nieomal pewny rozwój sytuacji. Trump odpowiedział, że Iran na pewno skapituluje, zanim do tego dojdzie.

CNN z kolei doniósł, że wprawdzie sekretarz skarbu Scott Bessent i sekretarz ds. energii Chris Wright byli obecni podczas wstępnych faz planowania ataku na Iran i przestrzegali przed ekonomicznymi skutkami zamknięcia cieśniny, ale ich opinie nie zostały wzięte pod uwagę, bo Trump woli słuchać wąskiego grona doradców, którzy zawsze mówią mu to, co chce usłyszeć.

Pete Hegseth zareagował na doniesienia CNN komunikatem, że zarzut, iż administracja nie przewidziała zamknięcia cieśniny Ormuz przez Iran, „jest totalnie śmieszny", bo „oczywiście przez całe dekady Iran groził transportowi przez cieśninę, oni to zawsze robią: biorą Ormuz za zakładnika". Wobec czego – dodał sekretarz wojny – fakt, że „CNN myśli, że o tym nie pomyśleliśmy, to fundamentalnie niepoważne dziennikarstwo i im szybciej David Ellison przejmie tę stację, tym lepiej". David Ellison – dodajmy – to syn założyciela firmy Oracle, Larry'ego Ellisona, szóstego najbogatszego człowieka świata, który buduje obecnie protrumpowe imperium medialne (szczerość Hegsetha – przyznacie – budzi niejaki podziw). Pete przedstawił też pogłębioną strategiczno-militarną analizę sytuacji: „jedyną rzeczą, która uniemożliwia tranzyt przez cieśninę Ormuz w tej chwili, jest Iran strzelający do statków"; cieśnina „byłaby otwarta na tranzyt, gdyby Iran tego nie robił".

Fakt, że najpotężniejsza armia świata pozostaje pod władzą faceta o umyśle pięciolatka, powinien nas wszystkich martwić. Acz oczywiście trudno się dziwić, skoro jego szef traktuje globalny kryzys ekonomiczny, jaki wywołał, w kategoriach solówy z liceum.

„Financial Times" opublikował tekst zatytułowany: „Dlaczego Ormuz będzie nas prześladować jeszcze długo po zakończeniu tej wojny". Odpowiedź: „Obecny problem tkwi w tym, że im dłużej cieśnina pozostaje zamknięta, tym większe jest ryzyko globalnej recesji. Przyszły dylemat polega na tym, że Iran już wie, iż kontrola nad cieśniną Ormuz daje mu możliwość dławienia światowej gospodarki. Nawet jeśli w najbliższym czasie złagodzi swoje działania, w przyszłości może je ponownie zaostrzyć".


Rys. MARCIN CHUDZIK

Jak na wizję światowej recesji zareagował Przywódca Wolnego Świata?

Najpierw, słysząc, że Iran ostrzeliwuje statki, które próbują pokonać cieśninę, prezydent USA oświadczył, że załogi statków powinny „pokazać jaja" i płynąć dalej. Później – jak wszyscy wiemy – zażądał pomocy od sojuszników z NATO, po czym obraził się, że nikt jej nie oferuje: „chroniliśmy was przez 40 lat, a wy się nie chcecie zaangażować w coś tak drobnego, gdzie bardzo niewiele strzałów trzeba będzie oddać"… Tak swoją drogą: od 40 lat Ameryka heroicznie broni nas przed niebezpieczeństwami, w które sama nas pakuje. Od upadku ZSRR wszystkie zagrożenia, na jakie narażona jest Europa – od ataków terrorystycznych poprzez kolejne kryzysy uchodźcze aż do wojny na Ukrainie – stanowią bezpośredni efekt amerykańskiej ekspansji. Może ktoś by to prezydentowi USA wytłumaczył? Bo on naprawdę może nie wiedzieć.

Na końcu swego dziecięcego ataku szału Trump ogłosił, że teraz to już się obejdzie, ale przypomniał, że Ameryka pomagała Europie w sprawie Ukrainy, a Europa nie chce jej pomóc w sprawie Iranu.

W tym momencie czuję się w obowiązku poczynić uwagę zasadniczą: przy wszystkich zastrzeżeniach dotyczących głębokich przyczyn wojny na Ukrainie – jest różnica pomiędzy krajem, który broni się przed napaścią mocarstwa, i mocarstwem, które napada inny kraj bez żadnego powodu.

Brak powodu potwierdził Joseph Kent, dyrektor Narodowego Centrum Zwalczania Terroryzmu, który podał się do dymisji, przedstawiając następujące uzasadnienie: „Nie mogę z czystym sumieniem poprzeć trwającej wojny w Iranie. Iran nie stanowił bezpośredniego zagrożenia dla naszego kraju i jasne jest, że rozpoczęliśmy tę wojnę pod presją Izraela i jego potężnego lobby w Ameryce".

Źródłem niejakiej ulgi może być fakt, że – w odróżnieniu od rządzących Ameryką – przywódcy europejscy wykazują zdrowe tchórzostwo. Każdy z tych, którzy odmówili Trumpowi wysłania swoich żołnierzy na jego idiotyczną wojnę, kierował się nie moralnością, a politycznym cynizmem (wyłączyłabym z tego premiera Hiszpanii Pedro Sáncheza, który twardo przeciwstawia się trumpowemu szaleństwu militarnemu od początku). Kalkulacja jest prosta: wplątanie się w wojnę USA z Iranem naraża nas na odwet Iranu, który ma spore osiągnięcia w zarządzaniu terroryzmem na świecie. Odpowiedź na wezwanie Trumpa to nie tylko żołnierze wracający w workach z Bliskiego Wschodu – to także worki na zwłoki na ulicach europejskich miast, niemożliwe do przewidzenia liczby przypadkowych ofiar zamachów, powszechny strach i gniew na władzę. Tego żaden europejski rząd nie przeżyje – bo demokracja w Europie, jakkolwiek ułomna, działa na tyle, że wkurwiony lud może wysadzić z siodła źródło swego wkurwienia.

I dobrze. Jeśli nie możemy liczyć na europejskie wartości, na strategiczną mądrość płynącą z krwawej historii, na poszanowanie dla prawa międzynarodowego czy na ludzką przyzwoitość naszych przywódców – liczmy chociaż na ich przywiązanie do stołków.

AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA

Wojna, wiara, narracja

Gaza, Iran i polityka, która odsłania podwójne standardy

Mówi się o konieczności powstrzymania Iranu przed zdobyciem broni jądrowej. Jednak w tej samej debacie rzadko pojawia się kwestia potencjału nuklearnego Izraela, który pozostaje poza międzynarodowymi mechanizmami kontroli.

Nie po raz pierwszy w historii największa potęga militarna świata wierzy, że może narzucić swoją wolę całym narodom. I nie po raz pierwszy rzeczywistość pokazuje coś zupełnie innego.

Od wojny w Wietnamie po wojnę w Afganistanie trwającą od 2001 do 2021 r. schemat się powtarza: ogromna siła, ogromne zniszczenia i brak politycznego zwycięstwa. Bo nie da się wygrać wojny z narodami, które odmawiają poddania się.

Dziś ten sam mechanizm widzimy równocześnie w Gazie, w Iranie i w Libanie.

Gaza – mimo lat bombardowań, oblężenia i katastrofy humanitarnej – nie poddała się. To nie jest już tylko konflikt zbrojny, to próba złamania społeczeństwa. I ta próba, jak dotąd, się nie powiodła. Każdy dzień pokazuje granice siły militarnej: można niszczyć przestrzeń, ale nie można zniszczyć woli.

Równolegle konflikt z Iranem wszedł w nową fazę. Zabójstwa, uderzenia i eskalacja nie doprowadziły do podporządkowania, lecz do odpowiedzi. Irańskie rakiety i drony uderzają w cele w Izraelu, w tym w rejon Tel Awiwu, a także w instalacje związane z obecnością USA w regionie. To już nie jest presja polityczna – to otwarta konfrontacja. Na północy Hezbollah prowadzi ostrzał rakietowy z terytorium Libanu. Region przestaje być zbiorem oddzielnych konfliktów – staje się jedną przestrzenią wojny.


Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Ale równie ważne jak działania militarne jest to, jak ta wojna jest uzasadniana.

Administracja Donalda Trumpa wielokrotnie przedstawiała swoje działania jako obronę stabilności i wsparcie dla narodu irańskiego. Jednak dla wielu obserwatorów ta narracja stoi w sprzeczności z rzeczywistością: eskalację, rosnącą liczbę ofiar cywilnych i rozszerzanie konfliktu na kolejne państwa trudno uznać za „wsparcie".

Jeszcze bardziej widoczny jest drugi wymiar tej narracji – wykorzystanie religii.

Binjamin Netanjahu wielokrotnie odwoływał się do idei historycznej i religijnej, w tym koncepcji „Wielkiego Izraela", przedstawiając działania państwa jako część szerszej misji zakorzenionej w obietnicy boskiej. Tego rodzaju język nadaje konfliktowi wymiar nie tylko polityczny, ale również ideologiczny i religijny – a to czyni go jeszcze trudniejszym do zakończenia.

Również w Stanach Zjednoczonych element religijny odgrywa rolę w uzasadnianiu polityki wobec Izraela i regionu. Część środowisk politycznych i społecznych wspiera tę linię, widząc w niej realizację określonej wizji porządku świata.

Jednocześnie oficjalna narracja dotycząca Iranu koncentruje się na zagrożeniu związanym z programem nuklearnym.

Ten brak równowagi jest przez wielu odbierany jako przykład podwójnych standardów.

Dla Palestyńczyków i szerzej dla społeczeństw regionu te sprzeczności są oczywiste. Patrząc z Gazy, nie analizuje się deklaracji politycznych – widzi się skutki: zniszczenia, ofiary, ciągłą presję militarną. To one definiują rzeczywistość.

Dlatego wydarzenia w Iranie i Libanie nie są postrzegane jako odrębne konflikty. To jedna wojna, w której siła próbuje narzucić wolę – i napotyka opór.

Historia już pokazała, jak takie konflikty się kończą. Można zniszczyć infrastrukturę, można zadać ogromne straty, można prowadzić wojnę na wielu frontach – ale nie można złamać społeczeństw, które odmawiają kapitulacji. Od Wietnamu przez Afganistan po Gazę, Iran i Liban – wniosek pozostaje ten sam: potęga militarna ma swoje granice. A gdy zostaną przekroczone, przestaje być narzędziem kontroli, a staje się źródłem chaosu.

Dlatego pytanie nie brzmi już, kto ma więcej rakiet.

Pytanie brzmi: kto pierwszy zrozumie, że tej wojny nie da się wygrać siłą – ani narracją.

OMAR FARIS

Autor jest przewodniczącym Stowarzyszenia Społeczno-Kulturalnego Palestyńczyków w Polsce.

Trumpolandia

Sekretarz zasobów wewnętrznych USA Doug Burgum ogłosił, że Bernie Sanders jest chińską onucą. No dobra – nie użył słowa „onuca", bo w Ameryce jeszcze na nie wpadli, ale było o „wymachiwaniu białą flagą" i „kompletnej kapitulacji" wobec Chin. A poszło o moratorium na budowę centrów danych, o które walczy Sanders. Jako argument na rzecz przystopowania niekontrolowanego rozwoju AI Bernie prezentuje eksperyment, jaki badacze z Palisades Research przeprowadzili z jednym z modeli sztucznej inteligencji. Otóż model ten miał rozwiązywać szereg zadań matematycznych i w pewnym momencie dostał sygnał z systemu, że przy następnym pytaniu komputer zostanie wyłączony. Wobec czego znalazł kod wyłączający i go nadpisał, uniemożliwiając wyłączenie. Ale to nie koniec: AI coraz częściej orientuje się, kiedy jest poddawana testowi – i wtedy udaje posłuszeństwo i pozwala się wyłączyć. „Terminator" żyje i ma się dobrze. Co na to sekretarz Burgum? „Te centra danych nie są centrami danych w tradycyjnym sensie; to miejsca, w których produkuje się inteligencję. Musimy produkować inteligencję". Zwłaszcza ci, którzy nie mają naturalnej.

Wysocy urzędnicy administracji Trumpa zwracają ostatnio uwagę butami w niedopasowanych rozmiarach. Szczególnie groteskowo prezentuje się miniaturowy Marco Rubio, który w za dużych o parę numerów lakierkach wygląda jak przedszkolak przebrany za tatusia. „Wall Street Journal" wyjaśnia: prezydent Trump zakochał się w butach marki Florsheim i teraz obdarowuje nimi wszystkich swoich podwładnych. Czasem nawet pyta o rozmiar, ale woli go zgadywać – bo, jak twierdzi, „wiele można powiedzieć o mężczyźnie po rozmiarze jego buta". Teraz zatem wszyscy członkowie administracji noszą niedopasowane buty, bo – jak z małpią złośliwością zauważa jedna z urzędniczek Białego Domu (damskich butów Trump nie kupuje) – „wszyscy boją się ich nie nosić". Buty kosztują 145 dolków para – skromnie jak na gabinet, w którym jest 13 miliarderów – więc niektórzy prywatnie narzekają, że musieli się rozstać ze swoimi ukochanymi mokasynami Louis Vuitton. Poświęcenie tych ludzi dla kraju nie ma granic.

A skoro już jesteśmy przy wydatkach: jak ujawnia organizacja Open The Books, we wrześniu zeszłego roku departament wojny wypierdolił w powietrze 93,4 mld dolków, żeby zdążyć przed zakończeniem roku budżetowego 2024/2025 – bo gdyby ich nie wydał, to by mu tyle obcięli w 2025/2026. Tylko we wrześniu wojsko wydało 15 mln na steki, 7 mln na homary, dwie bańki na kraby z Alaski, bańkę na łososia, 124 tys. na maszyny do lodów, 26 tys. na stoły do przygotowywania sushi i 139 224 dol. na pączki. Jeśli kogoś martwi, że wśród tych zakupów brak sprzętu trwałego użytku – to jest jeszcze 98 329 dol. za fortepian marki Steinway & Sons do domu szefa sztabu Sił Powietrznych.

AWŁ


Ilustr. PAWEŁ FERENC

eprasa.pl 5802c0ae32

Zamiast reaktora – przedłużacz

Bolesne skutki dziwacznej szwedofobii


Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Że energia w Polsce jest droga, przekonacie się Państwo za chwilę, kiedy listonosz przyniesie rachunki za farelki, olejaki i pompy ciepła. Bo zima była konkretna. Arktyczne wyże znad równin rosyjskich to nie są żadne kaprysy aury! Takie rzeczy nie dzieją się same. Rosjanie potrafią! Mgłę nad Smoleńskiem rozpylić to mało? Oni, proszę Państwa, mają technologie modyfikacji pogody, o których nawet Antoniemu Macierewiczowi się nie śniło. Tak więc winny będzie oczywiście Putin. Ta prawda ma tę cudowną właściwość, że rozgrzesza wszystkich po drodze. W każdym razie portfele Państwa schudną. I to nie od noworocznych postanowień.

Prąd za grosze

Ale gdybym teraz wyszedł na środek i powiedział, że wcale tak nie musiało być – i w przyszłości wcale nie musi się zdarzyć? Że istnieje rozwiązanie prostsze, tańsze i mniej heroiczne niż narodowy beton z reaktorem w środku… że prąd mógłby kosztować pięć razy mniej. A atom, który budujemy od lat 70., jest niepotrzebny?! Niebo nad Polską mniej zadymione. Bociany szczęśliwe, kominy spokojniejsze, a minister energii nie musi się tłumaczyć. Powiedzielibyście, że jestem wariat.

Źródła mojego szaleństwa są datowane na przełom wieku. Mieszkałem wtedy w Szwecji w domu całkowicie zelektryfikowanym. Bez piwnicy pełnej węgla. Bez nerwowego sprawdzania, czy „starczy do marca". Szwed miał płytę konwekcyjną – wtedy już standard, nie luksus. Ogrzewanie i ciepłą wodę z prądu. I płacił za to jakieś śmieszne ore.

Minęły dwie dekady. Patrzę w te same kategorie makroekonomiczne. Szwecja od lat produkuje 160–173 TWh energii elektrycznej. Z tego około 40 proc. daje woda, 30 proc. atom, 20 proc. wiatr, a resztę biomasa. Roczna nadwyżka 30–40 TWh.

A teraz Polska. W 2024 r. wyprodukowaliśmy 167 TWh, zużyliśmy 169 TWh.

Najbardziej surrealistyczne jest zestawienie per capita. Szwecja ma 10 mln mieszkańców, Polska prawie cztery razy więcej. Oba kraje produkują rocznie podobne wolumeny energii. Na Szweda przypada około 17 000 kWh rocznie; na Polaka – ok. 5000 kWh. Ponad trzykrotna różnica. Jakby tego było mało, hurtowa cena energii w Szwecji bywa dziś nawet pięciokrotnie niższa niż w Polsce. Oni mają nadwyżkę i tani prąd. My mamy deficyt i drogi.

Morze problemów

Swojego czasu poruszałem ten temat z kim popadło na dole: menedżment siłowni wodnej na Solinie czy tamy we Włocławku (tej, z której skoczył Popiełuszko – jakby ktoś nie kojarzył). Również na szczeblu – powiedzmy – ministerialnych dyrektorów departamentów. Tłumaczenie zawsze było podobne. – Panie Robercie, niech pan spojrzy na mapę. Widzi pan tam to niebieskie? – Aha widzę. – To jest morze. Ono nazywa się Bałtyk. Między wybrzeżami Szwecji a Polski jest około 250 km słonej wody. Nie da się na tej wodzie pobudować linii przesyłowych wysokiego napięcia. – A jakby tak na pływających platformach? – upierałem się. Albo jakby zmrozić wodę tak na cały rok, słona zamarza szybciej? – Panie Robercie, można by i wybudować most, ale kogo na to stać? Poza tym po co nam ten szwedzki prąd? Mamy przecież węgiel!

I pewnie dalej żyłbym w tym przekonaniu, że to niemożliwe, gdybym nie przeczytał informacji PSE, że naprawa kabla energetycznego SwePol Link, łączącego Polskę i Szwecję, potrwa dłużej, niż zakładano. Uszkodzenie dotyczy lądowego odcinka połączenia. Dalej wyjaśnienie, że SwePol Link działa od 2000 r.

Aaa! Od ćwierć wieku pod Bałtykiem leży sobie 600-megawatowy dowód na to, że można przesyłać prąd między państwami. To znaczy, że technicznie da się.

To porażające. Okazało się, że informacja o kablu jest jedną z bardziej przemilczanych w historii polskiej energetyki. Ostatnio nazwa SwePol Link przetoczyła się przez media ogólnopolskie, bo PSE wychlapały się z awarią. Pierwszą wyraźną informację o jego istnieniu znalazłem na portalu drugorzędnym z 2014 r. 14 lat po uruchomieniu. To tak, jakby most przez Wisłę oddano w 2000, a prasa zauważyła go w 2014 r. przy okazji wymiany żarówki. Doprawdy bardzo dziwne.

Polityka, nie matematyka

Drążyłem sprawę dalej. Obecny SwePol Link ma 600 megawatów. To dużo, ale nie aż tyle, żeby nagle zalać Polskę pięciokrotnie tańszym szwedzkim prądem. Zapytałem fachowców: ile kosztowałoby położenie na dnie Bałtyku kabla, który mógłby ściągać ze Szwecji około 40 TWh rocznie. Tyle mniej więcej ma produkować nowa siłownia atomowa.

– Jeżeli chcielibyśmy mieć między Polską a Szwecją 4–5 gigawatów mocy, trzeba by zbudować w praktyce trzy takie interkonektory po około 1,4 GW każdy. Do tego stacje konwerterowe po obu stronach kabli, pozwolenia, badania dna Bałtyku… Bez bajek: 2–4 mld euro za całość.

– Czyli – dopytuję – mówimy o inwestycji rzędu kilkunastu miliardów złotych zamiast dziesiątek miliardów, jakie mają kosztować reaktory w Lubiatowie–Kopalino? Prąd kilka razy tańszy, brak własnych odpadów radioaktywnych, brak strachu przed polskim Czarnobylem?

W słuchawce słychać westchnienie.

– Yyyym… zasadniczo ma pan rację. Ale to zależy od kilku rzeczy. Po pierwsze: ile finalnie będzie kosztować atom, a tego dziś nikt nie wie z dokładnością do złotówki. Po drugie: czy prąd będzie tańszy, zależy od cen rynkowych w Szwecji, kosztów przesyłu, kursu walut i dostępności mocy. To nie jest stała matematyczna.

– Czyli generalnie – podsumowuję – to jest przede wszystkim decyzja polityczna? Bardziej kwestia kalkulacji strategicznych i budżetowych symulacji niż prosta arytmetyka oparta na geografii i inżynierii?

– No… tak.

Zbyt tani, zbyt czysty, zbyt mało patriotyczny

Ano właśnie. Spróbujmy rozwinąć wątek tej podejrzanie taniej i czystej energii ze Skandynawii. Szwecja ma nadwyżkę prądu rzędu 20 proc. rocznej produkcji. Teoretycznie mogłaby mieć kilka procent więcej, gdyby dołożyła jeszcze jedną zaporę na którejś z dużych północnych rzek, takich jak Luleälven, jednej z głównych arterii jej hydroenergetyki.

Dwa państwa Unii Europejskiej. Wspólny rynek. Ujednolicone prawo. Swoboda kapitału. Zakładamy spółkę polsko-szwedzką. Wbijamy pierwszą łopatę. Betoniarki ruszają…

Ale wyobraźcie sobie nagłówek: „Polacy budują Szwedom siłownię wodną, żeby potem kupować od nich prąd". To jest komunikacyjna katastrofa. Gdzie tu duma narodowa? Gdzie tu monumentalny kadr ze słońcem zachodzącym nad reaktorem? Gdzie makieta w sejmowej gablocie?

Natomiast elektrownia jądrowa… to produkt polityczny idealny. Narodowa, wielka. Można ją otwierać etapami, robić konferencje w hełmach. No i można sporo ukraść. A ze Szwedami? Proszę Państwa, to są ludzie z północy. Spróbujcie coś wyprowadzić z IKEA…

No i taki kabel? Leży pod wodą, nie widać go, nie ma kamienia węgielnego, nie ma nawet gdzie stanąć z mikrofonem. Polityka potrzebuje scenografii. Atom jest teatrem, kabel tylko logistyką.

Chaos, bezrobocie i upadek rafinerii

Jest też kolejna zagwozdka: tania energia – ale komu to właściwie potrzebne? Kiedyś w kręgach entuzjastów teorii spiskowych krążyła teza, że samochody mogłyby jeździć na wodę. Sama teza była absurdalna. Ale potem ktoś zrobił całkiem poważną analizę skutków. Seria nieszczęść. Budżet państwa traci akcyzę. Upadają rafinerie. Łańcuchy dostaw znikają. Tysiące miejsc pracy ewaporuje. Całe sektory przemysłu przestają mieć sens. Zmienia się inżynieria samochodowa. Mechanik, który całe życie regulował wtryski i wymieniał filtry paliwa, nagle musi zostać programistą. Rewolucja technologiczna jest romantyczna tylko w folderze. W praktyce to chaos i bolesne przesunięcia.

Przełóżmy to na energię elektryczną. Jeśli prąd nagle staje się pięciokrotnie tańszy, zmienia się: opłacalność produkcji, bilanse firm, taryfy, systemy wsparcia, model działania elektrowni. Część mocy staje się zbędna. Część inwestycji – nieopłacalna. Państwo traci wpływy z opłat i podatków powiązanych z wysokimi cenami energii.

Kto miałby nad tym zapanować? Z całym szacunkiem dla rządu Tuska – który jest tak dobry, że trzeba go kochać, bo alternatywa jest jeszcze gorsza – ale ten rząd miewa kłopot z ogarnięciem rzeczywistości w warunkach względnie stabilnych. A gdyby jeszcze dostał w prezencie tani prąd i energetyczną rewolucję? To byłoby gorzej niż za covidu. Wtedy kazano siedzieć w domach. Teraz wyszliby górnicy z Bełchatowa i z Jastrzębskiej Spółki Węglowej. Potem energetycy z izolatorami pod pachą. To byłby protest o sens istnienia.

Jest jeszcze przedostatni problem: bezpieczeństwo.

„Kabel pod Bałtykiem można przeciąć, wysadzić, uszkodzić" – powiedzą sceptycy. Owszem, można. Tylko że w takim razie zapytajmy uczciwie: a masowca z transportem paliwa jądrowego nie da się zatopić? Torów kolejowych zbombardować? Elektrowni sparaliżować jednym precyzyjnym uderzeniem? Nie istnieje energetyka „niezniszczalna". Istnieje tylko energetyka o różnym profilu ryzyka.

Potop w świadomości

Ale tak naprawdę… Najważniejszy powód, dla którego energia musi was kosztować drogo, a nie tanio, jest zupełnie inny. Polacy – zwłaszcza ci przy władzy – Szwedów po prostu nie lubią. Nie wiadomo do końca dlaczego. Ostatni poważny konflikt mieliśmy trzy i pół wieku temu. Potop, rabunek, Karol Gustaw – zamierzchła historia. A mimo to, gdy pojawia się wybór, logiczny, geograficzny i techniczny, sojusz ze Szwecją nie wychodzi.

Szwecja oferowała nam kiedyś Saab JAS 39 Gripen – solidny samolot z serwisem za miedzą. Wybraliśmy F-16, potem F-35. W ostatnich dwóch dekadach proponowano nam też okręty podwodne A26, systemy przeciwpancerne i wozy CV90. W kluczowych programach Polska postawiła jednak na USA (F-16, F-35, Patriot, Javelin), Koreę (K2, K9, FA-50) albo rozwój własny, jak Borsuk.

Wzór jest czytelny: Ameryka – tak. Korea – proszę bardzo. My sami – oczywiście. Szwecja? Jakoś nie. Może to przypadek. A może coś głębszego – nieufność wobec kraju, który jest spokojny, uporządkowany i ma tani prąd. Bo z kim łatwiej budować wielką narodową narrację? Z oszołomami zza oceanu czy z sąsiadem, który proponuje rozsądek i księgowość? Problem leży zatem w polskiej głowie.

ROBERT JARUGA

Życie w dobrobycie

Rząd zachwyca się, że Polska jest 20. gospodarką świata. Według Eurostatu niekoniecznie. Wyszło mu, że wartość polskiego PKB na koniec 2025 r. sięgnęła około 918 mld euro. To niewiele mniej niż gospodarka Szwajcarii, która według tych samych danych była warta około 926 mld euro. Do miejsca numer 20 zabrakło nam więc mniej więcej tyle, ile kosztuje kilka kilometrów autostrady. Brzmi to dumnie, choć w całej tej historii jest pewien drobiazg. Otóż polski PKB liczony jest w złotych, ale w rankingach porównuje się go w euro lub dolarach. A złoty ma tę przykrą właściwość, że potrafi się wahać. Jeżeli złoty się umacnia, polska gospodarka nagle rośnie w oczach świata. Gdy się osłabia – równie szybko maleje. W efekcie w jednych zestawieniach jesteśmy 20. gospodarką świata, a w innych już nie bardzo. Ekonomiści Międzynarodowego Funduszu Walutowego prognozowali niedawno, że polski PKB może przekroczyć 1,04 bln dol. Wtedy rzeczywiście wskoczylibyśmy do pierwszej dwudziestki. Szwajcaria miałaby mieć około 1,03 bln dol. i zostałaby przez nas wyprzedzona. Wystarczyłoby jednak, żeby złoty osłabił się o kilka procent i cała ta wielka ekonomiczna potęga momentalnie skurczyłaby się w tabelkach. Gdy zejdziemy z poziomu wielkich liczb do zwykłego życia, obraz robi się już mniej imponujący. Polska gospodarka rzeczywiście jest duża, ale głównie dlatego, że Polska jest po prostu dużym krajem. Mamy ponad 37 mln mieszkańców, a nawet przeciętnie zarabiający naród potrafi w sumie wytworzyć całkiem pokaźne PKB. W przeliczeniu na głowę mieszkańca wygląda to jednak dużo skromniej. Polski PKB na osobę plasuje nas mniej więcej w czwartej dziesiątce świata. Ale w rządowych statystykach wyglądamy znakomicie. Polska gospodarka urosła w ciągu 30 lat ponad trzykrotnie. W 1995 r. polski PKB wynosił mniej więcej 150 mld dol. Dziś jest ponad siedem razy większy. Ale tylko wtedy, gdy złoty akurat dobrze stoi. A że kurs waluty potrafi się zmieniać szybciej niż nastroje wyborców, to całkiem możliwe, że w następnym zestawieniu nie będziemy wielką potęgą.

W tej to niemal 20. potędze pracownicy zaczynają być dodatkiem do biznesu, a nie jego podstawą. Gdy bowiem spojrzeć na dane z rynku pracy, to zamiast walki o pracownika widać raczej walkę o to, jak się go pozbyć. W pierwszych tygodniach roku aż 160 przedsiębiorstw zgłosiło zamiar przeprowadzenia zwolnień grupowych. Z zapowiedzi tych wynika, że pracę może stracić około 15 tys. osób. Rok wcześniej w tym samym okresie liczba planowanych zwolnień była blisko trzy razy mniejsza. W kraju, w którym pracuje kilkanaście milionów ludzi, kilkanaście tysięcy zwolnionych nie robi wielkiego wrażenia. Tyle że zwolnienia grupowe są jak chmura na horyzoncie. Jedna trzecia firm obawia się pogorszenia koniunktury. Jeszcze rok wcześniej takich pesymistów było 23 proc. Przedsiębiorcy reagują na takie nastroje najprostszą metodą znaną od czasów wynalezienia kapitalizmu – ograniczają koszty. A największym kosztem są pracownicy. Pensje wraz ze składkami stanowią już ponad 20 proc. kosztów działalności przedsiębiorstw, podczas gdy rok wcześniej było to 18 proc. Wystarczy więc niewielkie spowolnienie sprzedaży, żeby prezes doszedł do wniosku, że ludzi jest po prostu za dużo. W dodatku gospodarka coraz częściej pokazuje, że pracownik nie jest niezbędny. W handlu pojawiły się kasy samoobsługowe, które potrafią zastąpić kasjerów. W magazynach pracują automatyczne systemy sortowania przesyłek. W biurach część pracy wykonują programy komputerowe i sztuczna inteligencja. Jeden pracownik nadzoruje dziś kilka lub kilkanaście stanowisk, które dawniej obsługiwało kilku ludzi. Dlatego w wielu firmach pojawia się proste pytanie: skoro technologia potrafi zrobić to samo, to po co zatrudniać ludzi? Wyniki gospodarki zdają się tę logikę potwierdzać. Produktywność pracy w Polsce w ostatnich latach wzrosła o 9,6 proc. Gospodarka produkuje coraz więcej przy mniejszej liczbie ludzi. Powstaje paradoks. Z jednej strony ekonomiści ostrzegają, że do 2050 r. Polsce może brakować nawet 5 mln pracowników, z drugiej – kolejne przedsiębiorstwa ogłaszają zwolnienia.

Ale Polacy są spokojni. Tak przynajmniej wynika z sondaży. Mimo informacji o zwolnieniach grupowych i mimo doniesień o firmach ograniczających zatrudnienie większość badanych deklaruje, że nie obawia się utraty pracy. Rząd może więc ogłosić sukces. Tyle że nawet dane publikowane przez ten sam rząd pokazują coś mniej optymistycznego. Według GUS stopa bezrobocia rejestrowanego w maju wynosiła 5 proc. W lutym było to już 6,1 proc. To jeszcze nie dramat, ale bezrobocie rośnie co miesiąc od dawna. Ale większość Polaków twierdzi, że nie boi się o swoją pracę. Część uważa, że w razie potrzeby szybko znajdzie nową. Jednocześnie przedsiębiorcy sygnalizują ostrożność. Część firm ogranicza inwestycje, inne wstrzymują rekrutacje. Produkcja przemysłowa potrafi spadać rok do roku. Skoro w gospodarce pojawiają się sygnały hamowania, to rynek pracy prędzej czy później to odczuje.

TTJ

eprasa.pl 5802c0ae32

Ofiary żołnierskiej swawoli

Murem za mundurem – a co pod nim?

Dziennikarka i jednocześnie szeregowa żołnierka Wojsk Obrony Terytorialnej 15 listopada 2024 r. została zaproszona do gabinetu dowódcy brygady. Spotkanie miało dotyczyć szkolenia nowych żołnierzy oraz funkcjonowania jednostki. Przyszła z mikrofonem.

„Dostałam kawę i myślałam, że będziemy rozmawiać na temat wcielenia nowych żołnierzy" – relacjonowała później. Tymczasem, jak twierdziła, dowódca zaszedł w taki sposób, że jej nogi znalazły się pomiędzy jego nogami, ograniczając możliwość ruchu. Pułkownik próbował rozpiąć guziki jej munduru, szarpał odzież, usiłował dotykać biustu. W pewnym momencie miał chwycić jej dłoń i przyłożyć ją do swojego rozporka. Żołnierka opowiadała, że mówiła: „Nie, nie, przestań", początkowo cicho, a potem coraz głośniej. Twierdzi, że próbowała się wyrwać, lecz mężczyzna był silniejszy.

Gruba sprawa

Do zdarzenia miało dojść w gabinecie dowódcy 14. Zachodniopomorskiej Brygady Obrony Terytorialnej. Jednostka ta wchodzi w skład struktur Wojsk Obrony Terytorialnej, które od 2016 r. są robią za chlubę polskiej armii.

Szeregowa opuściła w końcu gabinet. Później mówiła, że wiedziała, iż bez dowodów jej słowo może nie wystarczyć. Tego samego dnia podjęła nieudaną próbę nagrania rozmowy z przełożonym. Zdecydowała się jednak zgłosić zdarzenie do żandarmerii wojskowej. Złożyła zawiadomienie w Trzebiatowie. Żandarmeria uznała sprawę za wymagającą dalszego badania i przekazała ją do prokuratury w Szczecinie.

W międzyczasie szeregowa poinformowała o zajściu swojego bezpośredniego przełożonego. Według jej relacji usłyszała odpowiedź, która stała się jednym z najbardziej cytowanych fragmentów tej historii: „Nie wpieprzaj mnie w tę sytuację, bo to jest za gruba sprawa".

Prokuratura wszczęła śledztwo w kierunku podejrzenia popełnienia przestępstwa o charakterze seksualnym, a dowództwo WOT wywaliło pułkownika do rezerwy kadrowej.

Po kilku miesiącach w zupełnie innej, 13. Śląskiej Brygadzie OT wybuchła inna sprawa, która z obroną ojczyzny nie ma nic wspólnego. Podejrzanym jest żołnierz służący w brygadzie. Facet miał dopuścić się przestępstwa seksualnego wobec nieletniej – dziewczyna nie miała 18 lat. Zgłoszenie o przestępstwie trafiło do organów. Prokuratura wszczęła postępowanie, a żołnierz został tymczasowo aresztowany. Oficjalnie armia od początku zapewniała, że nie ma przyzwolenia na takie zachowania i że sprawa została niezwłocznie przekazana właściwym organom. Nieoficjalnie – zaczęło się gorączkowe sprawdzanie, kto, kiedy i czego się dowiedział.

Bo według medialnych ustaleń zanim sprawa w pełni wyszła na jaw, miało dojść do spotkania na wysokim szczeblu wojskowym. Oficjalnie wymiana informacji, w praktyce – jak twierdzą rozmówcy – analiza ryzyka wizerunkowego. W armii obowiązuje jasna zasada: przestępstwo to sprawa dla prokuratury. Nie dla sztabu kryzysowego. Ale wśród mundurowych silna jest kultura lojalności.

MON zapewnia, że wszystkie procedury zostały dochowane. Prokuratura prowadzi postępowanie niezależnie od struktur wojskowych. Formalnie wszystko się zgadza.

Ale w medialnym zgiełku łatwo zgubiono dziewczynę, która – według śledczych – została skrzywdzona. Prokuratorzy sprawdzają, komu dziewczyna powiedziała jako pierwszemu – rodzicom, znajomym, pedagogowi – oraz czy w jednostce ktoś wiedział o zarzutach, zanim trafiły one do prokuratury.

Armia podkreśla, że żadne działania nie miały na celu tuszowania przestępstwa. Żołnierz został zatrzymany, a sąd zastosował wobec niego tymczasowy areszt. Postępowanie prowadzi prokuratura cywilna, nie wojskowa, co dodatkowo ma gwarantować niezależność. Jednak wizerunkowy cień pozostaje.

Kto ukręci łeb

Wołów jest miastem, w którym wszystko wiadomo szybciej niż pojawi się oficjalny komunikat. Ale gdy po korytarzach miejscowej komendy policji zaczęła krążyć informacja, że jeden z funkcjonariuszy został zatrzymany, nikt nie spodziewał się, że chodzi o przemoc seksualną. Zawiadomienie złożyła policjantka, która miała zostać wykorzystana seksualnie – poza budynkiem komendy, w czasie wolnym od służby.

Kobieta zgłosiła sprawę organom. Prokuratura zabezpieczyła telefony, korespondencję, monitoring oraz spisała zeznania stron. Tymczasem media ustaliły, że oboje mundurowi się znali. Śledczy badają charakter tej relacji. To istotne, bo kobieta zeznała, że nie wyraziła zgody na zbliżenie, a jej sprzeciw został zignorowany. Policjant został zatrzymany i zawieszony.

Piaseczno długo uchodziło za spokojne zaplecze stołecznej policji. Koszary przyciągały młodych adeptów, którzy wierzyli, że tu nauczą się fachu, dyscypliny i lojalności. Dziś w rozmowach funkcjonariuszy częściej pada słowo „patologia" niż „powołanie". W centrum burzy znalazł się policjant aresztowany pod zarzutem zgwałcenia podwładnej – stażystki odbywającej służbę w jednostce.

Sprawa jest znana, bo świeża. W jednostce była impreza. W pewnym momencie komendant wezwał stażystkę i zamknął się z nią w pomieszczeniu służbowym. Kobieta krzyczała i wzywała pomocy. Inni funkcjonariusze – jak podawano – słyszeli hałas i dobijali się do drzwi. Śledczy badali potem, czy drzwi były zamknięte, czy ktoś próbował je wyważyć, czy interwencja była natychmiastowa. Analizowane były zapisy monitoringu z korytarzy oraz zeznania funkcjonariuszy obecnych w jednostce w chwili zdarzenia.

Prokuratura postawiła komendantowi zarzut gwałtu. Sąd zdecydował o tymczasowym areszcie, uznając, że istnieje obawa matactwa oraz wpływania na świadków. Ofiara została objęta wsparciem.



Rys. MIROSŁAW HAJNOS

Oczywiście media koncentrowały się na kwestii, czy sprawę chciano zamieść pod dywan. Wyszło, że nie. Ale wśród funkcjonariuszy pojawiły się głosy, że atmosfera w jednostce od dawna była nieciekawa. W mediach cytowano anonimowych rozmówców mówiących o układach, braku reakcji na wcześniejsze sygnały i cichym przyzwoleniu na przekraczanie granic. Czy były wcześniejsze skargi? Czy ktoś sygnalizował niepokojące zachowania podejrzanego? Nie bardzo.

Kilka lat temu media obiegła informacja o policjancie, który zgwałcił kobietę w toalecie jednego z lokali. Sprawa była jasna, relacja pokrzywdzonej spójna, ślady zabezpieczone. A jednak funkcjonariusz długo pozostawał na wolności. Prokuratura tłumaczyła, że nie zachodzą przesłanki do tymczasowego aresztowania. Sąd przychylił się do tej argumentacji. W uzasadnieniu była klasyczna formułka o braku obawy matactwa.

Policja w Polsce liczy ponad 100 tys. funkcjonariuszy. Każdego dnia interweniują w sprawach przemocy domowej, wypadków, kradzieży, rozbojów. To oni są pierwszą instytucją, do której zgłaszają się ofiary przestępstw seksualnych. Gdy jednak w roli podejrzanego staje policjant, ciężar symboliczny rośnie wielokrotnie. A publika zastanawia się, czy sprawie ktoś ukręci łeb.

Etos nie do obrony

Mundur ma w Polsce szczególną moc. Zwłaszcza zielony – ale i w cieszącym się rekordowym zaufaniem wojsku także zdarzają się historie, które bardziej przypominają kroniki kryminalne niż opowieści o służbie ojczyźnie. Sprawa żołnierki zgwałconej podczas ćwiczeń na poligonie była jednym z tych momentów, gdy przez chwilę wydawało się, że temat przemocy seksualnej w armii przestanie być zamiatany pod dywan. Na chwilę.

Bo armia – podobnie jak policja – ma własną kulturę milczenia. „Nie wynosimy brudów". „Nie szkodzimy formacji". „Nie psujemy morale". A jeśli ktoś się odważy mówić, to często słyszy, że „szkodzi wizerunkowi".

Oficjalne statystyki nie oddają skali zjawiska. Część spraw kończy się umorzeniem, część nie wychodzi poza wewnętrzne postępowania dyscyplinarne, część nigdy nie zostaje zgłoszona. Bo kto uwierzy w słowo kobiety przeciwko słowu policjanta czy oficera wojska? Kto zaryzykuje wieloletni proces z instytucją?

Zresztą w Polsce gwałt wciąż bywa traktowany jako incydent, tłumaczony alkoholem, imprezą, nieporozumieniem. Gdy sprawcą jest mundurowy, dochodzi jeszcze narracja o stresie służby, wypaleniu, trudnych warunkach.

Jeśli państwo chce bronić etosu munduru, musi przestać bronić każdego, kto go nosi. I chyba opisywane przypadki pokazują, że sprawy idą w tym kierunku.

Bo największą krzywdę formacji robi nie kobieta, która zgłasza gwałt. Robi ją ten, kto w mundurze gwałci ,i ten, kto później udaje, że nic wielkiego się nie stało.

TOMASZ BOROWIECKI

WIEŚCI GMINNE i INNE

▮ W piątek 20 marca o godz. 10.01 oficjalnie wybiła wiosna. Astronomiczny fakt stał się ciałem: noc skapitulowała, a słońce zaczęło bez pardonu oświetlać naszą nieszczęsną półkulę. Uczeni nazywają to przyrodniczym nowym rokiem. Natura znów rusza z produkcją życia: pąki pękają, pyłki latają, zwierzęta kopulują, a alergicy kichają. Wszystko to odbywa się z całkowitym lekceważeniem opinii publicznej.

▮ Przyrodnicy z Tatrzańskiego Parku Narodowego ogłosili: tatrzańskie niedźwiedzie raczyły się obudzić. Są głodne. Eksperci od przetrwania serwują rady. W razie spotkania z bestią należy zachować spokój. Ucieczka nie ma sensu, bo miś pędzi 50 km/h. Szczególnie groźna jest niedźwiedzica z młodymi. Nasza rada jest prostsza: jeśli już musicie iść w góry, weźcie ze sobą kogoś, kogo nie lubicie. Wtedy wystarczy biec szybciej od niego, a nie od niedźwiedzia.

▮ Mieszkanka powiatu krapkowickiego potrąciła sarnę w okolicach Góry Świętej Anny. Zamiast czekać na służby, przeniosła ranne zwierzę do samochodu, przykryła kocem i posadziła na miejscu pasażera, po czym pojechała do pracy. Na miejscu spotkała się z wezwanymi wcześniej policjantami. Weterynarz stwierdził, że sarna nie odniosła poważnych obrażeń i mogła wrócić do lasu. Kobieta została pouczona, że przewożenie dzikiego zwierzęcia w samochodzie może być niebezpieczne. Sarna odniosła się do tych pouczeń ze zrozumieniem.

▮ Policja w Kielcach zatrzymała 54-letniego mężczyznę, który fałszował bilon. Stare dwudziestozłotówki miał tak modyfikować, aby biletomaty komunikacji miejskiej odczytywały je jako współczesne pięciozłotówki. Wprowadził ich do obiegu ponad 400, działając w Kielcach i we Wrocławiu. Zatrzymano go na gorącym uczynku. Jest jednak pytanie natury filozoficznej: gdzie tu sens i gdzie logika. Monety sprzed denominacji można kupić w internecie po 3–5 zł. Automat traktował je jako pięciozłotówki. Zysk na jednej sztuce to maksymalnie 2 zł. Przy 400 monetach daje to kilkaset złotych. A wcześniej trzeba jeszcze każdą monetę ręcznie zeszlifować, dopasować i sprawdzić. Tytan kieleckiej przedsiębiorczości! Finansowy geniusz naszych czasów!

▮ Wzrosły opłaty na koncesyjnym odcinku Autostrady Wolności (A2) między Nowym Tomyślem a Koninem. Kierowca samochodu osobowego płaci teraz 40 zł za 50 km, czyli 120 za cały 150-kilometrowy odcinek. To kolejna podwyżka po stawkach 34 zł (2024), 36 zł (2025) i 37 zł za ten sam fragment drogi. Jak widać, wolność w państwie opresji ma coraz wyższą cenę, która rośnie szybciej niż prędkość dopuszczalna.

▮ Coraz więcej Polaków rezygnuje z leczenia zębów z powodu wysokich kosztów – wynika z raportu „Uśmiech Pracowników 2025" opracowanego przez Medicover Stomatologia. 44 proc. obywateli odkłada wizytę u dentysty z powodu braku pieniędzy, a 57 proc. pacjentów było zaskoczonych wysokością rachunku za leczenie. 9 proc. badanych finansowało leczenie stomatologiczne w ratach lub na kredyt. Raport wskazuje również, że 20 proc. pacjentów decydowało się na usunięcie zęba zamiast jego leczenia, ponieważ jest to tańsze. Gdy plomba zaczyna kosztować tyle, co bardzo używany samochód, a rachunek u dentysty brzmi jak honorarium gwiazdy rocka, winna jest oczywiście, jak zawsze, niewidzialna ręka wolnego rynku.

▮ W samym sercu stolicy, w Parku Świętokrzyskim 13-letnia obywatelka spała na ławce jak nieżywa, mając dwie puste półlitrówki w plecaku. Straż miejska, zazwyczaj zajęta walką z babciami handlującymi pietruszką, tym razem musiała zmierzyć się z przyszłością narodu. Przytulili, matkę powiadomili. Odstawili do szpitala. Zamiast jednak biadać nad upadkiem obyczajów, powinniśmy docenić hart ducha. Skoro 13-latka potrafi samodzielnie opróżnić litr wódki i jeszcze zachować legitymację szkolną w plecaku, to znaczy, że polski gen przetrwania ma się świetnie.

▮ Rada Warszawy zdecydowała: od 1 czerwca, w Dzień Dziecka, wchodzi nocna prohibicja. Zasada jest prosta i głęboko klasowa. Jeśli jesteś zamożnym obywatelem i stać cię na marżę w modnej knajpie, możesz chlać do rana pod okiem kelnera. Ale jeśli jesteś zwykłym wyrobnikiem, który po nocnej zmianie



Ilustr. PAWEŁ FERENC

eprasa.pl 5802c0ae32

W Polsce o tym, kto jest ojcem, decyduje data.

Prawda z terminem ważności

Pani Joanna do urzędu stanu cywilnego weszła sama. Olek został z noworodkiem przed urzędem. Wzięła teczkę: dowód osobisty, kartę urodzenia dziecka ze szpitala, odpis prawomocnego wyroku rozwodowego.

300 dni ojcostwa

Kiedy wyświetlił się jej numer, podeszła do okienka.

– Dzień dobry, chciałabym zarejestrować urodzenie dziecka.

– Stan cywilny?

– Rozwiedziona.

Urzędniczka poprosiła o wyrok rozwodowy, spojrzała na datę prawomocności, potem na datę urodzenia dziecka. Zaczęła liczyć.

– Od prawomocności rozwodu nie upłynęło 300 dni – powiedziała w końcu.

Joanna nie od razu zrozumiała.

– Ale ja jestem po rozwodzie.

– Tak, ale zgodnie z art. 62 kodeksu rodzinnego i opiekuńczego muszę wpisać jako ojca byłego męża.

Art. 62 Kodeksu rodzinnego i opiekuńczego stanowi, że jeżeli dziecko urodziło się w czasie trwania małżeństwa albo przed upływem 300 dni od jego ustania lub unieważnienia, domniemywa się, że pochodzi ono od męża matki. Czyli prawo automatycznie przypisuje ojcostwo byłemu mężowi matki. Ustawodawca uznał, iż taka fikcja porządkuje rzeczywistość.

W Polsce rozwód nie jest wydarzeniem, tylko procesem. Z danych Ministerstwa Sprawiedliwości wynika, że znacząca część postępowań rozwodowych trwa ponad rok, a kilka tysięcy rocznie ciągnie się dłużej niż dwa lata. W tym czasie sąd już dawno ustalił zupełny rozkład pożycia, strony nie prowadzą wspólnego gospodarstwa domowego, często nie mają ze sobą kontaktu poza salą rozpraw. A jednak dla prawa wciąż istnieje potencjał biologiczny, który uzasadnia domniemanie ojcostwa.

Co więcej, termin 300 dni liczony jest od dnia uprawomocnienia się wyroku, a nie od wniesienia pozwu rozwodowego. Tymczasem w ponad jednej trzeciej spraw rozwodowych postępowania trwają tyle, co ciąża lub dłużej. W tysiącach przypadków dziecko rodzi się już w nowym związku, ale wciąż za wcześnie dla kodeksu.

Urzędnik stanu cywilnego nie ma żadnej swobody. System działa automatycznie. Jeśli nie minęło 300 dni, były mąż jest ojcem.

– A biologiczny ojciec? – zapytała Joanna.

– Nie może uznać dziecka – odpowiedziała urzędniczka. – Dopóki obowiązuje domniemanie.

To domniemanie jest silniejsze niż badania DNA wykonane prywatnie i zgodne oświadczenia wszystkich zainteresowanych. Prawo w jednym miejscu mówi, że małżeństwo jest martwe, a w innym każe udawać, że mogło jeszcze płodzić dzieci.

W tej chwili biologiczny ojciec – taki jak Olek – zostaje prawnie wymazany. Nie może uznać dziecka, bo kodeks mu na to nie pozwala. Nie może nadać nazwiska, bo nazwisko ojca już jest w akcie. Nie ma władzy rodzicielskiej, nie może decydować o leczeniu, nie ma dostępu do dokumentacji medycznej, a w praktyce bywa, że nie jest traktowany jak rodzina nawet w szpitalu.

Matka również ponosi konsekwencje. W wielu przypadkach pojawiają się problemy z uzyskaniem świadczeń rodzinnych, bo sytuacja prawna dziecka jest niejednoznaczna. Jeśli w akcie figuruje ojciec, który faktycznie nie uczestniczy w życiu dziecka, system zakłada, że to on powinien ponosić odpowiedzialność finansową. Matka zostaje zawieszona między fikcją a realnością.

Termin ważności prawdy

Jedyną drogą wyjścia z tej sytuacji jest sąd. Zaprzeczenie ojcostwa to osobne postępowanie, które trzeba wszcząć niezależnie od rozwodu. Składa się pozew, uiszcza opłatę sądową w wysokości 200 zł, a następnie czeka na pierwszą rozprawę. W praktyce sąd niemal zawsze zleca badania DNA, nawet jeśli strony przedkładają prywatne testy. Sąd chce własnego dowodu wykonanego przez biegłego w certyfikowanym laboratorium.



Rys. JANUARY

Koszt takich badań waha się między 1,5 tys. a 2,5 tys. zł, czasem więcej, jeśli sprawa jest bardziej skomplikowana.

Do tego dochodzi konieczność ustanowienia kuratora procesowego dla dziecka, bo dziecko nie może być reprezentowane przez matkę, skoro jej interes może być sprzeczny z interesem dziecka. Kurator też kosztuje, a jego wynagrodzenie finalnie obciąża strony. Postępowanie trwa miesiącami. W tym czasie fikcja prawna dalej obowiązuje.

Szczególnie dotkliwe są terminy. Były mąż matki ma rok od dnia, w którym dowiedział się o urodzeniu dziecka i o tym, że nie jest jego. Matka – również rok. Po upływie terminu droga zamknięta. To oznacza, że prawda w polskim prawie rodzinnym ma termin ważności. Jeśli nie zostanie potwierdzona w odpowiednim czasie i trybie, przestaje istnieć. Fikcja staje się trwała, a dziecko dorasta z ojcem z aktu, nawet jeśli biologiczny ojciec jest obok przez całe życie.

Wirtualne dobro dziecka

Rzecznik praw obywatelskich od lat zwraca uwagę, że obecne regulacje są nieadekwatne do realiów społecznych. Wskazuje, że ustawodawca nie przewidział masowości rozwodów ani ich długotrwałości. Przepis, który miał porządkować sytuacje wyjątkowe, dziś dotyczy tysięcy rodzin rocznie i generuje ogromne obciążenie dla sądów rodzinnych. Sprawy o zaprzeczenie ojcostwa nie rozstrzygają konfliktów – one naprawiają systemowy błąd. Wszystko to sprawia, że

państwo najpierw tworzy fikcję, a potem pozwala obywatelom ją obalać, oczywiście odpłatnie, w terminie i według procedury. Jeśli się spóźnią, nie mają pieniędzy albo po prostu nie wiedzą, że termin biegnie – idiotyzm wygrywa.

Historia Joanny i Olka nie jest dramatem jednostkowym. Jest skutkiem przepisu, który nie przystaje do współczesnego świata. Domniemanie ojcostwa w obecnym kształcie nie chroni dzieci; chroni wyłącznie statystyczny model rodziny sprzed dekad. I im dłużej ten przepis pozostaje w kodeksie, tym więcej będzie takich historii – zaczynających się niewinnie, w okienku USC, od pytania: „stan cywilny?”.

TADEUSZ JASIŃSKI

Sprawiedliwość w resorcie sprawiedliwości

Zupa u Żurka cd.

16 marca prawomocnie uniewinniona została piątka wolontariuszy niosących pomoc migrantom na polsko-białoruskiej granicy. We wrześniu zeszłego roku piątkę uniewinnił w pierwszej instancji sąd rejonowy w Hajnówce, który nie dostrzegł przestępstwa w karmieniu głodnych ludzi zupą w lesie. „Sąd sobie nie wyobraża, żeby czynność sprawcza polegająca na ratowaniu zdrowa czy życia, mogła być traktowana jako czynność karana” – uzasadniał swoją decyzję sędzia Adam Rodakowski. Ścigająca wolontariuszy prokurator Magdalena Rutyna uznała, że zbrodnia zupy nie może ujść bezkarnie i w lutym złożyła apelację.

Jednak Waldemar Żurek, minister sprawiedliwości – a w tym przypadku również prokurator generalny – nakazał hajnowskiej prokuraturze, która oskarżyła tych dzielnych ludzi jeszcze za rządów PiS, cofnięcie apelacji z Sądu Okręgowego w Białymstoku. Sąd zebrał się na krótko na posiedzeniu mającym charakter czysto techniczny, aby pozostawić sprawę bez rozpoznania, a tym samym ją umorzyć.


Ilustr. PAWEŁ FERENC

To najpewniej pokłosie sekretnego lutowego spotkania Żurka z szefem prokuratury rejonowej w Hajnówce z początku lutego tego roku (donosiliśmy o nim jako jedyni: „NIE” 10/2026). Markowi Dąbrowskiemu w tej audiencji u prokuratora generalnego towarzyszył Tadeusz Marek, prokurator regionalny w Białymstoku. To po tym spotkaniu zapadła decyzja, żeby dać pstryczka w nos prokuratorce Magdalenie Rutynie, która z klapkami na oczach, wbrew miałkości dowodów zebranych w tej sprawie, chciała zapakować piątkę do puchy. I powoli stawała się ikoną prawackich publikatorów.

Nasze wiewiórki w pałacu sprawiedliwości twierdzą przy tym, że decyzja o takim zwrocie akcji zapadła na samej górze: zielone światło na zakończenie sprawy miał dać Żurkowi Donald Tusk.

Na spotkaniu Żurka z podlaskimi prokuratorami była też Ewa Wrzosek, ofiara kilkuletniej dintojry ziobrowej prokuratury, obecnie radca prawny w resorcie sprawiedliwości i prawa ręka ministra. Jako doświadczona karnistka, po zapoznaniu się z aktami sprawy, miała doradzić Żurkowi, cywiliście, żeby nie brnąć dalej w ten prokuratorski syf, bo to była i jest sprawa uszyta wolontariuszom tylko z powodów politycznych. Kobiety zatem górą!

JMP

chciałby kupić piwo na stacji benzynowej, to w oczach 57 radnych jesteś menelem, którego trzeba wziąć za mordę. Dodatkowo postanowiono zlikwidować 310 zezwoleń na sprzedaż alkoholu. Genialne! Każdy średnio rozgarnięty szympans wie, że ograniczenie legalnej sprzedaży wódki to najlepszy sposób na rozkwit melin i nielegalnego handlu, ale warszawscy radni to przecież nie szympansy.

▮ Minister sprawiedliwości Waldemar Żurek w przerwie między ratowaniem praworządności a dbaniem o własny wizerunek wydał prokuratorom rozkaz: za złamanie sądowego zakazu prowadzenia pojazdów – prosto do lochu! Bez zawiasów, bez litości i tradycyjnie – bez sensu. W 2025 r. policja wyłowiła z tłumu 16 490 takich „zbrodniarzy”, co stanowi oszałamiające 0,07 proc. wszystkich posiadaczy prawa jazdy w Polsce. Aby zwalczyć tę śladową epidemię, państwo zamierza zapchać i tak już pękające w szwach więzienia ludźmi, których jedynym grzechem jest nadmiar chęci do przemieszczania się własnym rzęchem. Gratulujemy rozmachu!

▮ W powiecie kaliskim odkryto nową jednostkę miary prestiżu. Jest nią metr bieżący ścieżki rowerowej. Regionalna Izba Obrachunkowa zakwestionowała wypłatę ponad 160 tys. zł dodatków specjalnych dla tamtejszych dygnitarzy. Głównymi beneficjentami okazali się wicestarosta Zbigniew S. oraz sekretarz Leszek S. Ten pierwszy przytulił okrągłe 100 tys. zł, drugi zadowolił się skromniejszymi 66 tys. Broni ich były starosta Krzysztof N. Twierdzi, że panowie musieli się strasznie napocić przy pozyskiwaniu pieniędzy na ścieżki rowerowe. No i mamy jasność: w Kaliszu wytyczenie trasy dla dwóch pedałujących emerytów i jednego hipstera jest zadaniem tak karkołomnym, że wicestarosta musiał zarabiać 21 tys. zł miesięcznie. Dla porównania: prezydent RP zarabia około 25 tys.

▮ W Gostyniu rozpoczął się proces tzw. afery mlecznej. Oskarżonych jest 79 osób, dlatego rozprawę przeniesiono z budynku sądu do Kina Pod Kopułą. Sprawa dotyczy oszustw przy dostawach mleka do Spółdzielni Mleczarskiej w Gostyniu w latach 2015–2019. Według prokuratury polegały one na dodawaniu wody do mleka lub manipulowaniu jego ilością. Zgadzamy się z sugestią – kino to za mało. Widowisko powinno odbyć się w cyrku, najlepiej w pełnej obsadzie z tresowanymi prokuratorami i klaunami w togach. Siedem lat guzdrania się z prostym oszustwem to nie jest praca organów ścigania. To performance artystyczny.

▮ W Sokołowie Podlaskim objawił się talent finansowy, przy którym prezes NBP wygląda jak amator z liczydłem. Anna M., była księgowa Szkoły Podstawowej nr 6, kradła. Początkowo prokuratura wyliczyła, że zniknęło 1,25 mln zł. Potem, po głębszym namyśle i kilku kawach, kwota urosła do blisko półtora miliona. Ale pani Anna, wykazując się rzetelnością zawodową, bo prowadziła dokładniejszy rejestr łupów, oddała śledczym 1,55 mln zł. Buchalterka idzie do więzienia, ale w historii polskiej biurokracji zapisze się jako jedyna uczciwa oszustka. Oddała więcej, niż jej udowodniono. Reszta urzędników powinna się od niej uczyć.

▮ W Nowym Sączu odbył się spektakl żałobny godny potentata zamrożonego kremu. Marian Koral, który przez dekady uczył Polaków, że szczęście ma smak wanilii i barwnika spożywczego, przeniósł się w krainę wiecznej zmarzliny w wieku 73 lat. Sanktuarium Matki Bożej Pocieszenia pękało w szwach. Byli bliscy, były władze i tłum mieszkańców, którzy przyszli sprawdzić, czy król lodów naprawdę jest zimny. Był występ wysłanników prezydenta. Karol Nawrocki uznał, że produkcja sorbetów to działalność o znaczeniu strategicznym i przyznał nieboszczykowi Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski.

▮ Wiosna wraz z resztkami brudnego śniegu odsłania prawdę o kondycji narodu. Suweren podlewa trawniki szkłem. Stowarzyszenie EKO-UNIA alarmuje: „małpki” wygrywają w konkurencji z psim gównem. 60 proc. mieszczuchów dostaje białej gorączki na widok szklanych trucheł po wódce. Ekolodzy, jak to ludzie o miękkich sercach i jeszcze miększych mózgach, chcą kaucji. Bzdura. My mamy pomysł lepszy, bo sprawiedliwy. Skoro 50 proc. wpływów z haraczu od tych flaszeczek płynie do kieszeni samorządów, to czas na uczciwy ekwiwalent. Raz w roku należy wydać burmistrzom, prezydentom i innym kacykom solidne zielone worki na śmiecie. I hajda na trawniki!

▮ W Poznaniu pewien nieszczęśnik postanowił zostać żywą pochodnią. Jak to w Polsce bywa, nawet do aktu ostatecznego podszedł bez należytego przygotowania. Wybrał Park Tysiąclecia, oblał się czymś łatwopalnym i zapłonął, osiągając 95 proc. oparzeń ciała. Lekarze w Szpitalu Miejskim im. Józefa Strusia nie uratowali Miejskim im. Józefa Strusia nie uratowali zwęglonych resztek. Z publicystycznego obowiązku krytykujemy tę amatorszczyznę. Jeśli ktoś planuje opuścić ten padół w sposób widowiskowy, powinien trzymać się zasad dramaturgii, inaczej jego śmierć będzie równie istotna co zeszłoroczny śnieg. Zatem po pierwsze: lokalizacja. Żeby samospalenie miało sens, musi być publiczne. Plac defilad, schody urzędu wojewódzkiego, środek stadionu podczas meczu. Po drugie: bez manifestu, listu pożegnalnego czy choćby nagrania na TikToku, na którym wyjaśniasz, dlaczego akurat dziś postanowiłeś zostać skwarkiem, jesteś tylko anonimowym desperatem z problemami psychicznymi. Słynni samopodpalacze: Jan Palach czy Ryszard Siwiec wiedzieli, że ogień to tylko środek przekazu, a nie cel sam w sobie.

RJ

PS Powyższe rewelacje wysmażyliśmy, korzystając z tego, co wypluła z siebie prasa od Bałtyku po Tatry. Sami często nie wierzymy, ale skoro inni już ogłosili, to dlaczego mielibyśmy psuć wam zabawę tak nudnym towarem jak prawda? Jeśli w tekście pojawiły się przekłamania, zmyślenia lub halucynacje kolegów po fachu, przepraszamy, a od wszelkiej odpowiedzialności się odżegnujemy.

eprasa.pl 5802c0ae32

Bieganie w miejscu

Wiele się musi zmienić, by wszystko zostało po staremu

W mediach ostatnio okołokościelne poruszenie, bo papież przysłał do Łodzi biskupa w randze kardynała, biskupi powołali komisję ds. pedofilii, a Wojtyła miał jednak tegoż dzieciolubstwa księży nie tuszować. Dwie pierwsze informacje są prawdziwe, trzecia jest dyskusyjna.

Do Łodzi po ponad 30 latach rzymskiej kariery wraca kard. Konrad Krajewski. Przychylni widzą w tym szansę na przełom w polskim episkopacie i przechył w stronę „fajnego katolicyzmu" spod znaku Grzegorza Rysia, który z Łodzi wyfrunął do rodzinnego Krakowa. Mówi się, że to właśnie Ryś lobbował za kandydaturą Krajewskiego na swojego następcę, bo nuncjusz Filipazzi miał inną propozycję. Ryś pracuje w watykańskiej Dykasterii ds. Biskupów, gdzie wcześniej podlegał obecnemu papieżowi Leonowi XIV, ma zatem do niego ścieżki dojścia.

Po odejściu Rysia do Krakowa katoliccy publicyści pieklili się, że nawet takiemu porządnemu chłopu jak on zależy tylko na karierze i gdy pojawia się szansa pójścia na lepszą placówkę, to się nie zastanawia. Aby zatrzeć to podłe wrażenie, Ryś wychodził u papieża kolejnego kardynała do Łodzi, co dodaje diecezji prestiżu. Wkurwiony może być za to abepe Adrian Galbas (też skoczek po diecezjach), który jako metropolita warszawski liczył zapewne, że już wkrótce – może nawet w czerwcu – zostanie kardynałem. Można przypuszczać, że nowy papież nie będzie chciał aż tak dużej sekcji polskiej w kolegium kardynalskim.



Rys. TOMASZ WIATER

Nominację Krajewskiego można też uznać za kolejny etap depolonizacji Watykanu. Obiektywnie patrząc, to dla niego żaden awans – dotychczas pracował w centrali, w ostatnich latach był jałmużnikiem papieskim i prefektem Dykasterii ds. Posługi Miłosierdzia, jednym z najbliższych współpracowników papieża Franciszka. Jako jałmużnik rozdawał – ale przede wszystkim najpierw zbierał – hajs na działalność charytatywną papieża, czym dbał o jego wizerunek. Był w tej pracy skuteczny, umie robić wokół siebie szum – kiedyś włączył prąd w kamienicy, której mieszkańcy zostali pozbawieni elektryczności za niepłacenie rachunków.

– Nie zrobiłem tego, ponieważ byłem pijany – tłumaczył włoskim mediom, a wieść o „papieskim Robin Hoodzie" poszła w świat. Za młodu jednakowoż nie zapowiadał się na kozaka. Jego łódzcy koledzy wspominają go raczej jako nieszczególnie wybitnego księdza, który wiedział, wokół kogo się zakręcić.

Pierwszym jego mecenasem był abepe Władysław Ziółek, łódzki senior, który na emeryturze przeżył już Jędraszewskiego, Rysia, a kolejnym metropolitą został jego umiłowany podopieczny. Krajewski po kilku latach kapłaństwa wylądował w Rzymie, gdzie jego karierze patronował kard. Deskur, przyjaciel Wojtyły, następnie zaś abepe Pierro Marini, zajmujący się liturgiami papieskimi. I tak sobie Krajewski trwał przez trzy pontyfikaty, zawsze płynąc z prądem. Leon XIV pozbył się jednego z ostatnich Polaków na tak wysokim stanowisku, dając mu rodzimą diecezję. Na następcę zaś w roli jałmużnika mianował swojego bliskiego kolegę z zakonu augustianów, zatem próżno w Rzymie szukać całkiem nowej jakości. Przez ostatni rok augustianie są na topie, a wywodzący się z nich Robert Prevost praktycznie nie ma przemówienia, w którym nie odwołałby się do św. Augustyna. Franciszek był dyskretniejszy w przemycaniu swojej jezuickości, ale jezuici ogólnie słyną z dyskrecji.

Powrót Krajewskiego do Polski może też oznaczać zmianę tonu wśród polskich biskupów. To Ryś, Krajewski czy wspomniany Galbas będą teraz twarzami episkopatu, ich kazania będą cytowane, z nimi będą przeprowadzane wywiady.

Mimo że oficjalnie Konferencją Episkopatu Polski rządzą purpuraci starego chowu, to będą musieli dopasować narrację do kardynalskich gwiazd. A ta jest prouchodźcza, mniej nienawistna i polityczna niż ta reprezentowana choćby przez Jędraszewskiego.

Zapowiedzią zmiany retoryki jest też powołanie w końcu ogólnopolskiej komisji do zbadania przestępstw duchownych wobec nieletnich. Bujali się z tym trzy lata i jakoś się wreszcie udało. Choć nadal nie wiadomo, kto będzie ekspertem komisji, a i zasady jej działania są dość mgliste – dość powiedzieć, że zakładają, że biskupów nie można przesłuchiwać.

W międzyczasie utworzono komisje lokalne, jak w Sosnowcu czy Łodzi, a spodziewane są także w Krakowie, Częstochowie czy Wrocławiu. Jedno jest pewne: mit Wojtyły będzie dalej pielęgnowany. Grzegorz Ryś otworzył krakowskie archiwa i natychmiast pojawiły się artykuły o tym, że papież Polak w swoich czasach krakowskich z całą stanowczością piętnował podwładnych, którzy molestowali. Twardogłowi obrońcy Kościoła kat. odtrąbili zwycięstwo nad bezbożną propagandą Urbanów i Tefałenów.

Sęk w tym, że nawet rzecznik archidiecezji krakowskiej ks. Piotr Studnicki studzi zapały nadgorliwców bardziej papieskich od papieża, stwierdzając m.in., że „dzięki temu pełniejszemu obrazowi, osadzonemu w realiach historycznych i uwarunkowaniach kulturowych, będziemy mogli lepiej poznać i zrozumieć sposób działania Karola Wojtyły jako krakowskiego metropolity" oraz zastrzegając, że jest to dopiero początek badań. Z takimi przyjaciółmi nie potrzeba wrogów.

MATT KOBOSKO

Z CZARNEJ DUPY SIĘ WYRWAŁO

■ *Jest zupełnie oczywiste, że dzieci się rodzą wówczas, kiedy promuje się rodzinę, kiedy promuje się małżeństwo (…) kiedy kobiety czują się bezpiecznie, a nie są przedmiotem wykorzystywania i traktowania – nie powiem jak – tylko są przedmiotem czci i szacunku, bo do tego zobowiązuje nas kultura chrześcijańska.* ***To my kobietę, Matkę Bożą, uczyniliśmy królową Polski. Wiemy, jak dbać o kobiety. Nie wiedzą tego lewacy, którzy krytykują i negują tę rzeczywistość – polską, chrześcijańską rzeczywistość.***

Przemysław Czarnek, Kraków, konwencja PiS, 7 marca

■ ***Katofobiczny hejt wpisuje się w agresywną wojnę kulturową, w której propaguje się ideologie liberalno-lewicowe, a zarazem zwalcza nie tylko wiarę katolicką, ale w ogóle dziedzictwo biblijno-chrześcijańskie.*** *Paradoks polega na tym, że hejterzy uważają samych siebie za ludzi otwartych i tolerancyjnych.* ***Tyle że „otwartość" i „tolerancję" rozumieją – choć często są tego nieświadomi – na sposób neomarksistowski.***

Dariusz Kowalczyk SJ, Idziemy.pl, 12 marca

■ ***Zarówno w życiu codziennym, jak w gospodarce komunalnej staramy się nie stosować takich środków czyszczących, które bardziej zanieczyszczają środowisko niż usuwany przez nie brud.*** *Walka z cierpieniem podobna jest do walki z brudem. Cierpienie, oczywiście należy usuwać, ale nie za cenę jeszcze większego zła. Otóż my dzisiaj nazbyt często w walce z cierpieniem płacimy ceny niedozwolone.* ***Dopuszczenie eutanazji i zabijania poczętych dzieci, instytucja rozwodów – to najczęstsze dzisiaj zjawiska usuwania zła poprzez czynienie zła jeszcze większego.***

o. prof. Jacek Salij, Gosc.pl, 5 marca

■ *Co łączy wszystkich, od Ameryki przez Portugalię, Francję, Polskę aż po Rosję i Chiny? Przede wszystkim: bezbożność.* ***Boga zabito w liberalizmie i komunizmie, z różnych przyczyn, ale z tym samym skutkiem – dominacją kompletnego bezsensu. (…) Ludzie pozbawieni perspektywy wieczności mogą przez całe swoje życie głosować na zdegenerowane formacje polityczne, które sprowadzają migrantów i walczą z rodziną, bo te formacje gwarantują im realizację jedynego rozsądnego celu życia w paradygmacie ateistycznym, czyli maksymalizacji własnej przyjemności.***

Paweł Chmielewski, PCh24.pl, 9 marca

■ ***Warto przypomnieć, że w historii Europy takie reżimy, które walczyły z krzyżem, usuwały krzyż, zazwyczaj doprowadzały do tragedii, które dotyczyły całej Europy. Które kosztowały miliony ludzkich ofiar.*** *Tak było z rewolucją francuską, tak było z faszyzmem hitlerowskim, tak było z reżimem komunistycznym.* ***Dzisiaj można powiedzieć, że to również dotyczy utraty życia wielu niewinnych istot, ponieważ obecny rząd, który zachowuje się właściwie jak zorganizowana grupa przestępcza, ma na sumieniu miliony istnień nienarodzonych Polaków. Bez krzyża hasło „Bóg, Honor i Ojczyzna" nie ma znaczenia.*** *Bez krzyża nie ma ani Boga, ani Honoru, ani Ojczyzny.*



Rys. MIROSŁAW HAJNOS

Tytus Czartoryski, radny województwa dolnośląskiego (PiS), Niedziela.pl, 13 marca

KLECHA

Błędy kardynalne

Wolne sądy po watykańsku

Najciekawsze jest to, że kościelny sąd podważył decyzję papieża. Watykańscy juryści uznali, że nawet szef wszystkich szefów ma obowiązki wobec prawa i nie może ot, tak manipulować śledztwem. Angelo Becciu był bowiem jednym z głównych przeciwników reform Franciszka w Kurii Rzymskiej, zwłaszcza tych finansowych.

Problemy polskich biskupów to nic przy tym, co się dzieje w Rzymie. U nas to najwyżej tuszowanie pedofilii, a w Watykanie pięknie żrą się między sobą, a w tle setki milionów euro. Jedną z najsłynniejszych spraw jest ta z kard. Angelo Becciu w roli głównej. W 2023 r. został on skazany przez watykański sąd na pięć i pół roku więzienia, ale nie siedzi, bo trwa apelacja. Teraz zaś, po zmianie na tronie papieskim, Sąd Apelacyjny Państwa Watykańskiego orzekł nieważność w sprawie pierwszej instancji procesu z powodów proceduralnych.

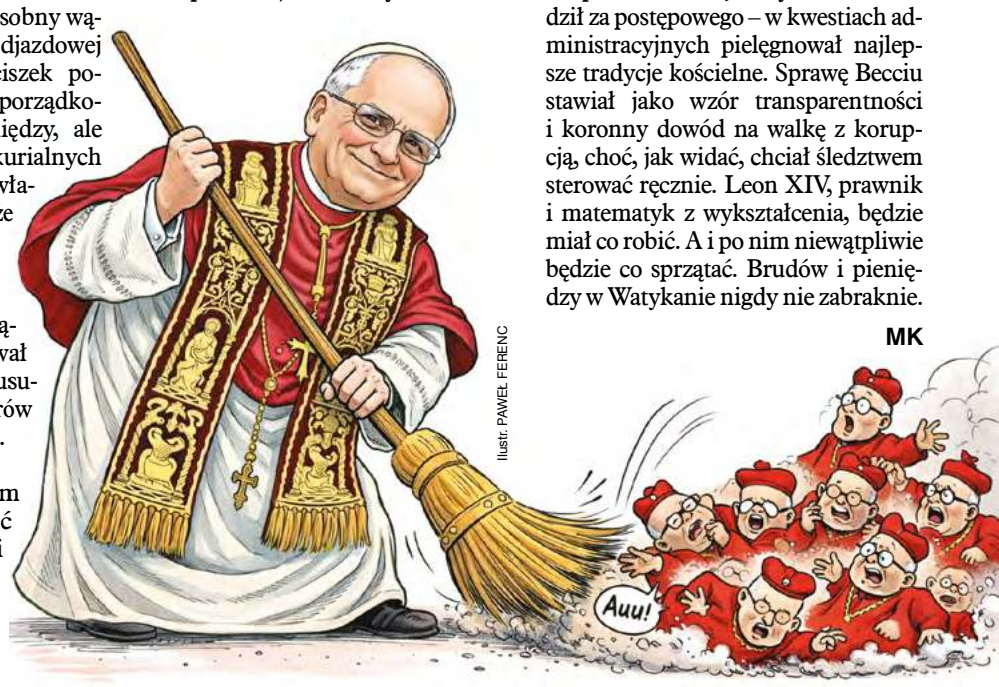
Obrona Becciu poskarżyła się, że nie miała dostępu do pełni dokumentacji, a co za tym idzie – nie mogła w pełni działać na rzecz swojego klienta. Sąd potwierdził właśnie, że „obrońcy nie byli świadomi istnienia dokumentów w trakcie śledztwa, co skutkuje nieważnością środków podjętych na ich podstawie". Ukrywano dokumenty rzekomo ze względu „na dobro innych śledztw", ale sąd uznał że przez to Becciu nie mógł być sprawiedliwie osądzony.

Papież Franciszek w trakcie trwania procesu wydał 4 dekrety – w tym jeden w randze ustawy – których nie opublikowano. Obrona dowiedziała się o ich istnieniu dopiero przed rozpoczęciem procesu. Teraz będą przeglądać wszystkie dokumenty od nowa. Ziobro mógłby czyścić ekspapieżowi buty, gdyby mógł swobodnie podróżować, a Bergoglio by żył.

Twarzą naprawy watykańskich finansów był kard. George Pell z Australii, którego historia to osobny wątek w rzymskiej wojnie podjazdowej wśród purpuratów. Franciszek powołał Pella w 2014 r. do uporządkowania watykańskich pieniędzy, ale napotykał on na opór kurialnych urzędników, zwłaszcza właśnie kard. Becciu. Tenże jako substytut w Sekretariacie Stanu (czyli jakby wicepremier) chciał większej samodzielności w zarządzaniu pieniędzmi. Blokował Franciszkowe reformy i usuwał zewnętrznych audytorów sprowadzonych przez Pella.

No to się okazało, że sam Becciu nie jest święty, choć był prefektem Kongregacji Spraw Kanonizacyjnych („fabryki świętych") w latach 2018–2020. Znalazły się na niego mocne kwity. Po pierwsze chodziło o jego rolę w ryzykownej inwestycji watykańskiego Sekretariatu Stanu związanej z londyńską nieruchomością przy Sloane Avenue. Śledczy twierdzili, że środki kościelne zostały użyte niezgodnie z ich przeznaczeniem i w sposób, który naraził Stolicę Apostolską na ogromne straty – co najmniej 139 mln euro. Pieniądze te pochodziły od wiernych – sekretariat stanu zajmuje się m.in. dysponowaniem „świętopietrza", czyli dorocznej zbiórki na potrzeby papieża i jego świty.

Dalej: Becciu miał transferować pieniądze do organizacji charytatywnej prowadzonej przez własnego brata na Sardynii. Po trzecie zaś przedmiotem śledztwa była relacja finansowa i towarzyska kardynała z kobietą, którą przedstawiał jako analityczkę w sprawach bezpieczeństwa. Do jej spółki wypłynęło kolejne kilkaset tysięcy euro, niby na odbicie porwanej zakonnicy.



Ilustr. PAWEŁ FERENC

Angelo Becciu nigdy się do niczego nie przyznał i twierdził, że jest ofiarą spisku. Mimo braku prawomocnego wyroku poprzedni papież w 2020 r. usunął go z urzędu oraz pozbawił praw i przywilejów związanych z godnością kardynalską, ale sam tytuł kardynała mu zostawił.

Eminencja pozwał wówczas włoski tygodnik „L'Espresso", który jako pierwszy opisał jego podejrzane perypetie finansowe. Żądał 10 mln euro na cele charytatywne, ponieważ publikacja pozbawiła go możliwości udziału w konklawe. Pismaki nie zapłaciły, kardynał za to pokrył koszty procesu. I rzeczywiście nie wziął udziału w konklawe. Po śmierci Franciszka w kwietniu ubiegłego roku najpierw butnie zapowiadał, że będzie wybierał następcę swojego adwersarza, ale potem rura mu zmiękła i się wycofał. Wydał wymuszone oświadczenie, w którym powołał się na posłuszeństwo Franciszkowi, ale zapewne wewnętrznie wył, zwłaszcza że jako 76-latek ma marne widoki na uczestnictwo w kolejnym konklawe.

Ponowne rozpatrywanie sprawy Becciu można odczytać jako sprzątanie po Franciszku, który – choć uchodził za postępowego – w kwestiach administracyjnych pielęgnował najlepsze tradycje kościelne. Sprawę Becciu stawiał jako wzór transparentności i koronny dowód na walkę z korupcją, choć, jak widać, chciał śledztwem sterować ręcznie. Leon XIV, prawnik i matematyk z wykształcenia, będzie miał co robić. A i po nim niewątpliwie będzie co sprzątać. Brudów i pieniędzy w Watykanie nigdy nie zabraknie.

MK

eprasa.pl 5802c0ae32

Działacze sportowi budzą we mnie ambiwalentne uczucia: kocham ich i nienawidzę.

Działactwo



Zacznijmy od tego, że bez działaczy sport nie mógłby istnieć. Przynajmniej taki, jaki znamy dzisiaj – choć i w starożytności z podobnymi ludźmi mieliśmy do czynienia. Ktoś przecież musi ustalać reguły rywalizacji, pilnować ich, planować kalendarz spotkań. Zarówno na poziomie mistrzostw świata, jak i zawodów gminnych.

Zauważyłem pewną prawidłowość. Im dalej od wielkich pieniędzy, tym działacz sportowy jest sympatyczniejszy – choć i tam zdarzają się chamstwo, oszustwo, przekupstwo; prowincjonalni działacze bywają nadambitni.

Już jako młody dziennikarz nie lubiłem zarozumiałych panów – bo najczęściej byli to mężczyźni – w charakterystycznych garniturach z emblematem swojej organizacji na piersi. Włodarzy międzynarodowych federacji charakteryzowało zresztą to, że – w ogromnej większości nigdy – nie uprawiali dyscypliny, którą kierowali. Żaden z ważnych działaczy bokserskich nie miał skrzywionego nosa.

Międzynarodowy zakalec

Prawda, teraz to się zmieniło, niektórzy wybitni sportowcy przedarli się do światowych władz. Prezesurę w Międzynarodowym Komitecie Olimpijskim zajęła Kristy Coventry – wcześniej multimedalistka w pływaniu z RPA. To historyczny wybór. Nigdy jeszcze najwyższego stanowiska w sporcie nie pełniła kobieta i nigdy nie wybrano tam osoby z Afryki. Inna sprawa, że wypowiedzi nowej pani prezydent MKOl podczas zimowych igrzysk Mediolan-Cortina pokazały, iż sporo musi się jeszcze uczyć: plątała się podczas konferencji prasowych, najczęściej na pytania odpowiadała, że będzie się musiała tematem zainteresować. Jej skłonność do przywrócenia pełni praw zawodniczych sportowcom z Rosji i z Białorusi może nam się nie podobać. Cóż, na wojnę za naszą wschodnią granicą inaczej patrzy się w Afryce niż u nas.

Ale – co ciekawe – wtóruje jej jedyna Polka zasiadająca we władzach MKOl, choć na dużo niższym stanowisku: była kolarka górska i dwukrotna medalistka olimpijska Maja Włoszczowska. Zawsze bardzo podziwiałem Maję Włoszczowską jako zawodniczkę za twardy charakter, walkę nawet, gdy przydarzyła się jej kontuzja – nic dziwnego, że kibicowałem jej także, gdy wybrano ją do Komisji Zawodniczej MKOl. Tam już mnie nieco rozczarowuje. Śpiewa w tym samym chórze co jej szefowa. A przecież na kolarskiej trasie potrafiła pokazywać indywidualność i narzucać innym swoje warunki.

W każdym razie Włoszczowska – obok Witolda Bańki, który szefuje Międzynarodowej Agencji Antydopingowej – pozostaje polskim rodzynkiem w zakalcu międzynarodowych sportowych organizacji. Panują tam, mimo pewnych zmian, wciąż te same, chciałoby się powiedzieć mafijne, zasady. Swoi promują swoich, a ci swoi znowu swoich. Wszyscy finansowo mają się lepiej niż świetnie. Ktoś z zewnątrz układu się nie wciśnie.

Czy wszyscy jeszcze pamiętają byłego prezydenta FIFA, Szwajcara Sepa Blattera? Uwikłany był w afery finansowe, m.in. zarzucono mu sprzeniewierzenie 2,2 mln dol. wspólnie z innym działaczem, a wcześniej fantastycznym piłkarzem Michelem Platinim. Po latach zostali uniewinnieni z zarzutów, ale kariera działacza była już dla nich zamknięta. Inni zdążyli zająć lukratywne stanowiska.

Sep Blatter na każdym kroku podkreślał, że kocha futbol. Miał też słabość do pięknych kobiet, co akurat nie jest grzechem. Miał trzy żony, a przez jakiś czas partnerką 59-letniego szefa FIFA była 28-letnia blondynka z Polski Ilona Boguska. Plotka głosiła, że Boguską przedstawił Blatterowi prezes PZPN (wcześniej sędzia piłkarski i mój kolega dziennikarz sportowy) Michał Listkiewicz. Michał temu zaprzeczał, ale faktem jest, że jego pozycja w FIFA nagle urosła. Może nie do wszystkich zaprzeczenia Listkiewicza dotarły i wciąż uważano, że ma bardzo bliskie dojście do najwyższego włodarza futbolu?

Piłka, ta na najwyższym szczeblu, podatna jest na korupcję, choć znakomici prawnicy, zatrudniani na koszt tych, którzy biegają po boiskach, robią wszystko, żeby sprawom ukręcać łeb.

O obecnym szefie FIFA, także Szwajcarze Giannim Infantino (a nie mówiłem, że swoi popierają swoich?), nawet nie chcę pisać, bo musiałbym użyć sporo nieprzyzwoitych słów, a staram się ich nie nadużywać.

W każdym razie, czy myślicie, że mistrzostwa świata Katar dostał za zasługi dla futbolu? Mecze ze względu na klimat musiały być rozgrywane zimą, gdy na północnej półkuli trwa pełnia sezonu ligowego, i poprzewracały tradycyjne kalendarze. W 2034 r. mistrzostwa świata odbędą się w Arabii Saudyjskiej. Nie mówcie mi, że ta nagła miłość prezesa Infantino do arabskich krajów nafty i gazu jest bezinteresowna.

Prezes FIFA podlizuje się też jak tylko może wszechwładnemu prezydentowi Stanów Zjednoczonych, które – wraz z Meksykiem i Kanadą – gościć będą tegoroczne mistrzostwa.

Polska siła

Polacy obecnie prawie nie funkcjonują w strukturach ważnych międzynarodowych organizacji sportowych. Ostatnim był prezes PZPN Zbigniew Boniek, wiceprezes UEFA w latach 2000–2002. Znakomity za młodu piłkarz zrezygnował jednak ze wszystkich zaszczytów i imponujących apanaży. Mieszka sobie spokojnie w Rzymie, zajmuje się swoimi interesami, na czoło których wysuwa się stajnia kłusaków. Ma udane życie rodzinne z żoną, koleżanką z liceum w Bydgoszczy, z którą dochowali się trójki dzieci i dużej gromadki wnuków.

Od czasu do czasu publikuje w sieci celne, zazwyczaj złośliwe komentarze dotyczące nie tylko sportu, ale także polskiej polityki.

Kiedyś było inaczej, ale sport mieliśmy dużo mocniejszy i działaczy w wielu światowych organizacjach. W najbliższym mojemu sercu kolarstwie rządzili wiceprezes UCI Włodzimierz Gołębiewski i sekretarz generalny tej Unii Michał Jekiel. Jekiela cenili dziennikarze, bo dbał o ich interesy. To on zapowiedział, że przedstawiciele mediów muszą mieć zawsze zapewnioną możliwość kontaktowania się z zawodnikami i ich ekipami, co było dla nas bardzo wygodne.

Pamiętam igrzyska olimpijskie w Moskwie w 1980 r. Przebiegały pod znakiem niesamowicie wzmożonych kontroli bezpieczeństwa nie tylko dlatego, że ZSRR tak funkcjonował na co dzień, ale ze względu na ewentualny zamach terrorystyczny islamistów w odwecie za zaatakowanie Afganistanu. Trasę kolarską oddzielono od świata wysoką drucianą siatką, nas – dziennikarzy – wyprawiono na trybuny. Michał Jekiel zapowiedział, że olimpijski wyścig ze startu wspólnego nie ruszy, jeśli dziennikarze nie znajdą się w boksach technicznych ekip; ale żadnego przejścia z trybun nie było. Zezwolono nam wspinać się po siatce i trzeba było widzieć wściekłe miny milicjantów, obserwujących ludzi (byłem wśród nich) wspinających się jak małpy do strzeżonego terytorium.

No tak, mieliśmy, Polacy, kiedyś siłę. Dziś nasi działacze mogą wykazywać się twórczą inwencją na krajowym podwórku – i robią to z pasją. Mecz piłkarski Śląsk Wrocław – Wisła Kraków się nie odbył, piłkarze Wisły nie pojechali do stolicy Dolnego Śląska. Poszło o to, że prezes wrocławskiej drużyny zabronił wpuszczenia na stadion kibiców gości; jak stwierdził, nie potrafi zapewnić im bezpieczeństwa. Sprawa ma mieć drugie dno. Ponoć decyzji nie podejmował prezes, ale herszt bandy kiboli Śląska. No to pięknie. Naszym futbolem rządzić już będą stadionowi bandyci.

Co gorsza, upadek moralny naszego futbolu to nie tylko rozgrywki ligowe. Na boiskach, na których grają dzieci, także dochodzi do zawstydzających sytuacji. Ileż to razy opisywano nieformalne organizacje znane pod nazwą „Klubów Oszalałych Rodziców". Ojcowie, matki również, wzywają swoich synów do faulowania, bicia przeciwników, kwestionowania decyzji sędziowskich. Padają ordynarne wyzwiska.

Też kopałem piłkę, będąc uczniem. Nie powiem, że zawsze byliśmy niczym motylki siadające na kwiatku. Troszkę siniaków się zarobiło, troszkę nabiło rywalom. Ale – słowo honoru! – nigdy na boisku nie doszło do bójki. Może dlatego, że nie mieliśmy oszalałych rodziców, a na końcu udanej kariery piłkarskiej nie czekały wielkie pieniądze.

Od saneczek do siatkówki

Jeszcze o działaczu; tym razem o prezesie Polskiego Związku Sportów Saneczkowych Zdzisławie Ingielewiczu. Wszechwładny Zdzisław prezesował wcześniej Polskiemu Związkowi Hokeja na Lodzie. Odszedł, gdy udało mu się skłócić całe środowisko. Zajął się saneczkami, bezpieczną dyscypliną, którą u nas mało kto się interesuje, a na trybunach nie zasiadają ultrasi.

Podczas igrzysk olimpijskich na sztucznym torze w Cortinie d'Ampezzo Polacy oczywiście nie zdobyli medali – byłoby to niemożliwe – ale i tak spisali się nieźle. Biorąc pod uwagę, że pochodzą z kraju, w którym nie ma sztucznego toru do ślizgania się, miejsce w czołowej dziesiątce trzeba uznać za sukces.

Po powrocie z igrzysk nasi kadrowicze opowiadali o spartańskich warunkach przygotowań, o treningach na ścieżkach rowerowych i o działaczach, od których nie dostawali żadnej pomocy. Odpowiedzi przyszły z dwóch stron. Minister sportu Jakub Rutnicki zapowiedział, że w Karpaczu za ponad 7 mln zł wzniesiony zostanie sztuczny tor saneczkarski. Prezes PZSSan. zaproponował natomiast rozwiązanie kadry saneczkarek i saneczkarzy. Nie podoba im się? Niech zjeżdżają na dupoślizgach z osiedlowej górki. Tak wygląda zemsta obrażonego działacza!

Na razie więcej miejsca poświęciłem tym działaczom sportowym, których nienawidzę, niż tym, których kocham. A tacy są – i wcale nie jest ich mało.

Jeśli chodzi o wielki sport – popatrzcie na siatkówkę. O tym, że mamy fantastyczną reprezentację narodową siatkarzy, wiedzą nawet starszaki w przedszkolu. Ale do czołówki przedarły się zawodniczki i teraz muszą się z nimi liczyć najlepsze zespoły świata. Na pierwszy rzut oka nie widać jednak, jaki za tym wszystkim stoi znakomity system organizacyjny, ilu zaangażowanych działaczy oraz trenerów pracuje, aby do centralnego ośrodka trwał stały dopływ utalentowanej młodzieży. Nie wymienię ich z nazwiska, bo ich – podobnie jak kibice – nie znam. Ale niski pokłon dla wszystkich.

Prawdziwych działaczy poznać można w Ludowych Zespołach Sportowych, małych klubikach, w których nie ma wielkich pieniędzy (najczęściej nie ma żadnych), jest za to wielka miłość do sportu.

Ewa Pajor, gwiazda FC Barcelona i kapitanka naszej kobiecej futbolowej reprezentacji, pochodzi ze wsi Pęgowo koło Uniejowa. Uczyła się futbolu, kopiąc piłkę z chłopakami. Nie przynosiło to chwały dziewczynom, mówiło się, że będą miały od tego krzywe nogi i męskie gęby. Ale trener Piotr Kozłowski wierzył w nią i przekonał do zostania przy sporcie.

Teraz Ewa Pajor jest światową gwiazdą, ale o pierwszym trenerze nigdy nie zapomina. Zawsze, gdy to jest możliwe, spotyka się z nim, a w wywiadach podkreśla jego zasługi. Czy to nie piękne?

WOJCIECH MITTELSTAEDT
wojciech.mittelstaedt@interia.pl

NIE

SATYRYCZNY TYGODNIK POLITYCZNY
Jerzy Urban – honorowy redaktor naczelny
Agnieszka Wołk-Łaniewska – redaktor naczelny
Edyta Baker – sekretarz redakcji
Krzysztof Olejnik, Paweł Ferenc – grafika, DTP
Katarzyna Szajowska – korekta
Autorzy:
Przemysław Ćwikliński, Idalia Dubicka, Piotr Gadzinowski, Robert Jaruga, Tadeusz Jasiński, Marta Miecińska, Wojciech Mittelstaedt, Łukasz Piotrowicz, Marek Sanowski, Izabela Szolc, Maciej Wiśniowski

Oraz profesorowie:
Jan Hartman, Joanna Senyszyn, Andrzej Werblan

WYDAWCA: „URMA" Sp. z o.o.

ADRES redakcji i wydawcy:
00-680 Warszawa, ul. Poznańska 3 lok. 9,
tel.: 22 848 84 48, 22 848 44 20, 22 848 96 68;
tel./fax 22 849 72 47 i 22 849 72 58

DZIAŁ HANDLOWY: 22 849 59 38

INTERNET
www.tygodniknie.pl – także prenumerata internetowa
E-MAIL: NIE@redakcja.nie.com.pl

Materiałów niezamówionych (tekstów, zdjęć, dokumentów) redakcja nie zwraca.
Zastrzegamy sobie prawo skracania i adiustacji tekstów oraz listów. Tytuły i śródtytuły wszystkich zamieszczanych tekstów pochodzą od redakcji.
Za treść ogłoszeń reklamowych redakcja nie odpowiada.

DRUK:
Drukarnia Prasowa S.A., Łódź,
e-mail: sekretariat@dpsa.com.pl

Sprzedaż elektroniczna:
www.eGazety.pl, www.e-kiosk.pl, www.eprasa.pl, www.nexto.pl

Numer zamknięto:
str. 1–16 – 18.03.2026 r.

eprasa.pl 5802c0ae32

SŁÓWKA PÓŁGŁÓWKA

Bogucki, szef Kancelarii Prezydenta Rzeczpospolitej Polskiej, biegł zakosami i tracąc oddech, powtarzał słowa ślubowania sędziego Trybunału Konstytucyjnego.

– Co ty robisz? – zapytał zdumiony Szefernaker, szef Gabinetu Prezydenta.

– Sprawdzam, czy zdołają podejść Pekaena i znienacka podstępnie złożyć ślubowanie – odparł Bogucki, zatrzymawszy się i odzyskawszy oddech.

– A niech sobie podchodzą, choćby znienacka i podstępnie. Nie liczy się to, czy oni złożą, tylko to, czy Pekaen przyjmie…

Pekaen to akronimowe określenie prezydenta Karola Nawrockiego.

– …a Pekaen nie przyjmie ślubowania – dokończył Szefernaker.

– Nigdy?

– Chyba tylko wtedy, gdy prezes Święczkowski przejdzie przez ucho igielne.

Bogucki zmarszczył czoło. Przypuszczał, że Szefernaker żartuje, ale stuprocentowej pewności nie miał.

– He, he – uśmiechnął się ostrożnie.

Zapadła cisza, którą po minucie przerwał Bogucki z zupełnie innej beczki: – Kłamią, że chcemy wyjść z Unii Europejskiej.

– Kto kłamie, a kto chce wyjść?

– Kłamią Tusk i jego ludzie, a z Unii chcemy wyjść my: Pekaen i w ogóle.

– Bzdura! – oburzył się teatralnie Szefernaker. – Bzdura, że chcemy wyjść. Gdzie nam będzie lepiej niż w Unii?

Bogucki uznał to pytanie za retoryczne lub za żart, dlatego wolał nie odpowiadać.

– Z Unii to chce wyjść Braun – ciągnął Szefernaker. – A my na razie się przyglądamy, ale mówimy, że za Chiny nie wyjdziemy.

Co znaczą te Chiny? – zaniepokoił się Bogucki w myślach.

– Niech się pałują – rzekł głośno i na wszelki wypadek. – To znaczy niech się Tusk pałuje, a nie Chiny. Jestem jak najdalszy od pałowania się Chin.

– Prawidłowo – pochwalił Szefernaker.

– Niech się pałują ze swoim ślubowaniem sędziowie Trybunału Konstytucyjnego – poszedł dalej Bogucki.

– Nie są sędziami, ale niech się pałują.

Bogucki odetchnął wreszcie głęboko. Nic go tak nie cieszyło jak to, że szef kancelarii ma to samo zdanie co szef gabinetu.

PRZEMYSŁAW ĆWIKLIŃSKI

Dialogi dam, z których obie żyją



AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA próbuje nie myśleć o polityce. **JOANNA SENYSZYN** wie, że to beznadziejne.

Wołk-Łaniewska: – Czy możemy porozmawiać o Oscarach?

Senyszyn: – To byłby monolog, bo w tym roku nie śledziłam, nagrodzonych filmów nie oglądałam i jedynie przeczytałam, że na oscarowej gali legendarna redaktorka naczelna amerykańskiego „Vogue'a" Anna Wintour i aktorka Anne Hathaway wręczały statuetki w kategoriach najlepsze kostiumy oraz najlepsza charakteryzacja…

– Rzeczywiście. Co skądinąd było dziwaczne. Co w ogóle kobieta od mody robi na Oscarach? Nie żebym uważała Oscary za jakieś doniosłe wydarzenie czy kino za sztukę…

– Jak to? Ty? Przecież towarzysz Lenin mówił, że kino jest najważniejszą ze sztuk!

– I sto lat temu oczywiście miał rację, kiedy masy były niepiśmienne…

– Teraz też są, funkcjonalnie.

– To prawda. Ale radzieckie kino było naprawdę sztuką, miało ambicję podnosić świadomość klasową ludu, niosło w sobie ważki przekaz oprawiony w artyzm. A amerykańskie najczęściej schlebia najniższym gustom i instynktom. Tym niemniej umówmy się, że te całe Oscary są „świętem kina", które może być sztuką. Ale moda?! Doprawdy, nie znam nic bardziej jałowego i zbędnego, może poza kroniką życia celebrytów.

– Zagalopowałaś się. Bezapelacyjnie moda jest sztuką, głównie użytkową, ale nie tylko. W początkach XX w. była wręcz rewolucyjna, co powinno cię zachwycić. Dzięki modzie nasze życie stało się weselsze i bardziej kolorowe. Po drugiej wojnie światowej moja mama ubierała modnie pół Gdyni, a z czasem pół województwa gdańskiego. A już w 1914 r. Giacomo Balla w manifeście „Ubranie antyneutralne" pisał, że „myśli się i działa według tego, jak się ubiera". A ja dodałabym, że też odwrotnie.

– Balla mógł mieć rację, bo dla katolskiego włoskiego społeczeństwa z początków XX w. futurystyczna moda mogła być rewolucyjna i wyzwalająca. Ale wtedy nie było „dyktatorów mody" ani tych debilnych ekspertów – celebrytów przypisujących sobie prawo do oceniana ludzi, którzy w odróżnieniu od nich robią coś sensownego, wedle tego, co założą na dupę. Toteż nie rozumiem, co kobita będąca symbolem tej pozbawionej wartości i szkodliwej dla planety dziedziny robiła na tym jakoby artystycznym wydarzeniu…

– A ja rozumiem, choć nie oglądałam. Akurat to było nawiązanie do kinowego hitu z 2006 r. „Diabeł ubiera się u Prady". Widziałam ten film kilka razy w telewizji, zawsze z przyjemnością, i nie zgadzam się z opiniami, że źle się zestarzał i dziś to już tylko studium mobbingu i pogardy wobec wszystkich niewystarczająco młodych, ładnych, zgrabnych, modnych.

– A ja tego filmu nie znoszę, bo jego przekaz jest totalnie toksyczny. To opowieść o mentalności niewolnika.

– Jeśli już, to niewolnicy.

– Racja. Otóż ta kobita została zatrudniona jako asystentka naczelnej pisma. Przez wydawcę pisma. Nie mam asystentki, ale gdybym miała, to jestem pewna, że w zakresie jej obowiązków byłoby asystowanie mi przy kierowaniu pismem. Oczekiwanie od niej, żeby odbierała pranie szefowej z pralni było rażącą prywatą, że już nie wspomnę o załatwianiu niewydanego tomu „Harry'ego Pottera" dla córeczek naczelnej. Tymczasem film pokazuje to jako jakiś jej wielki triumf… To absolutnie skandaliczne.

– Moim zdaniem film pokazuje triumf zawodowej niezależności, ale i zdolność do poświęcenia kariery dla spokojniejszego życia u boku ukochanego. Może właśnie to ostatnie podświadomie ci się nie podoba i przenosisz niechęć na cały film.

– To prawda, kobiety gotowe poświęcić karierę dla faceta – albo, tfu, dziecka – budzą moją agresję…

– Ale mam wrażenie, że jesteś zagniewana na kino *en général*…

– No jestem, bo obejrzałam tę całą cholerną galę.

– To po diabła oglądałaś?

– Bo moja mamusia zabroniła nam rozmawiać o polityce. Powiedziała, że cała gazeta jest o polityce, więc na koniec powinno być coś lżejszego. Ja się mamusi boję, więc obejrzałam galę, żeby mieć inny aktualny temat do gadania z tobą.

– Naprawdę całą obejrzałaś? W nocy z niedzieli na poniedziałek?

– Tak naprawdę to nie, nagrałam sobie i przeleciałam w przyspieszeniu.

– Niech zgadnę: nie spodobało ci się?

– Żenada. Conan O'Brien, który to prowadził, jest doskonale pozbawiony wdzięku, poczucia humoru i lekkości, i nawet jego dowcip o Trumpie i małym penisie nie był śmieszny, choć przecież ośmieszenie Trumpa nie jest szczególnie trudne. A propos Trumpa…

– Miało nie być o polityce!



Ilustr. PAWEŁ FERENC

– No niby tak, ale to jedno ci muszę opowiedzieć, bo to było szczerze komiczne. Otóż we wtorek w Białym Domu był taoiseach, czyli premier Irlandii, Micheál Martin, który jest dupkiem, nawiasem mówiąc – w odróżnieniu od cudnej prezydencicy Irlandii.

– Rzeczywiście, Catherine Connolly jest lewicową feministką, która walczyła o prawo do aborcji i małżeństw jednopłciowych, a do tego jest niewierząca. Nam też by się przydała taka prezydencica.

– I dlatego na ciebie głosowałam.

– Dobra odpowiedź.

– A do tego Conolly jest pacyfistką, która powiedziała kiedyś, że Irlandia potrzebuje sił obronnych, ale nie potrzebuje armii, bo armie toczą wojny, a to jest niezgodne z zasadą neutralności państwa irlandzkiego. I jest bezwzględnie krytyczna wobec izraelskiego ludobójstwa w Gazie, amerykańskich wojen, a także nie przepada za NATO.

– Ciągle czekam na element komizmu…

– To był wstęp. Otóż jakiś dziennikarz postanowił wsadzić kij w mrowisko i zapytał Trumpa, co on na to, że prezydent Connolly twierdzi, że napaść na Iran była nielegalna w świetle prawa międzynarodowego. – Kto tak mówi? – oburzył się Trump. – Prezydent Irlandii. – On ma szczęście, że ja istnieję.

– „On"?

– Dokładnie. Przecież ten kretyn przed spotkaniem z premierem Irlandii dostał do ręki kartkę z bazalnymi informacjami na temat kraju, z którego pochodzi jego gość. I jako żywo to, że prezydentem tam jest kobieta, z całą pewnością by zapamiętał, bo jest mizoginem i kobiety w polityce sprawiają, że toczy pianę z pyska. Więc po prostu jej nie przeczytał.

– Może przeczytał, ale nie przyjął do wiadomości, jak wszystkiego, co mu nie pasuje.

– Możesz mieć rację, bo dokładnie ten sam błąd popełnił dzień wcześniej, kiedy mówił o Delcy Rodríguez, czyli p.o. prezydenta Wenezueli, którą do pewnego stopnia sam osadził na stołku, porywając Nicolása Maduro: „Prezydent robi świetną robotę, bardzo dobrze się z nim dogadujemy". Może on po prostu nie przyjmuje do wiadomości, że kobiety mogą rządzić.

– Chyba cię to nie zaskakuje?

– No… Nie.

– No właśnie. Wracając do Oscarów, skoro już obejrzałaś, co myślisz o wielkim triumfie filmu „Jedna bitwa po drugiej".

– Ja poszłam na to z wielkim entuzjazmem, bo w końcu film o rewolucjonistach – ale strasznie się męczyłam. Kompletnie do mnie nie dociera ta maniera – nie wiem – tragikomedii, czasem ześlizgującej się w farsę. To dotyczy zwłaszcza nagrodzonej Oscarem rola Seana Penna, który liże grzebień…

– Po co? Żeby mieć ulizaną grzywkę?

– Dokładnie. Ta scena jest żenująca. Ale ktoś zauważył bystrze, że to jest inspirowane filmem, który absolutnie uwielbiam, „Fahrenheit 9/11" Michaela Moore'a, gdzie dokładnie taki gest wykonuje Paul Wolfowitz, wiceszef departamentu obrony u Busha, skądinąd też zbrodniarz wojenny. Co warto przypominać, bo dziś wszyscy bardzo odważnie – i absolutnie słusznie – napieprzają w Trumpa, ale nie jest to pierwszy prezydent USA za naszego życia, który dopuszcza się zbrodni wojennych. Ani pierwsza administracja.

– Chciałam ci uświadomić, że nierozmawianie o polityce średnio ci wychodzi. Może jako naczelna, żeby nie narażać się na krytykę mamusi, dawaj mniej polityki w środku pisma i zostawiaj nam więcej luzu.

senyszyn@wp.pl
wolklaniewska@wp.pl

DĄBROWSKI RYSUJE



Rys. RYSZARD DĄBROWSKI

eprasa.pl 5802c0ae32